Świat Kobiecy

N-R 24 | 15 GRUDNIA 1931 R. | ROK XI



CENA ZŁ. 2·25

Wszystkim Czytelniczkom i Współpracownikom „Świata Kobiecego" składamy z powodu zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia życzenia wszystkiego najlepszego.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA.

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | N-R 24 — ROK XI | WARSZAWA — LWÓW | 15 GRUDNIA 1931 ROKU

OPIS OBYCZAJÓW I ZWYCZAJÓW ZA PANOWANIA AUGUSTA III. KS. JĘDRZEJA KITOWICZA

„O KOŁYSCE"

„Ojcowie Bernardyni wystawiali kołyskę Chrystusa Pana nowo narodzonego nie w kościołach swoich ale izbie jakiej gościnnej przy forcie klasztornej będącej. Ceremonia ta mała, nie wielom wiadomą była i niemal tylko dewotom i dewotkom bernardyńskim znajoma. Schodzili się na nią zaraz po objedzie; była zaś takowa: kolebka zwyczajna w jakiej kołyszą dzieci, ale jaknajsuciej w kwiaty i materją ubrana stała na środku izby, w niej osóbka Pana Jezusa, miary dziecięcia zwyczajnej, w pieluszki bogate uwinionego, śpiąca; w głowach kolebki osoba *dwułokciowa* Najświętszej Panny w suknie według mody ustrojona. Całe zgromadzenie klasztorne klęcząc, formowało cyrkuł około kolebki, śpiewając pieśni stosownie ułożone. Gwardjan z jednej strony a pierwszy po nim w stopniu godności z drugiej, klęcząc kołysali kolebkę śpiewając razem z drugimi."

— — — — — — — — — — — — — — — —

Z południa już było i mało wiele ku wieczorowi się miało. Chmurzyste niebo wisiało nisko, jak okap, a ziemia błockiem uczerniona ziała ku niemu na kształt kominowej czeluści. Śnieg spadły w wigilję leżał jeszcze gdzieniebądź i tajał w rozlewistych kałużach. Wicher wył jak pies i rwał się przez suche zarośla a dopadłszy drogi, targał a pamiatał a kielcami szarpał chudzinę jakowąś ledwie idącą. Kuliło się to wedle ścian domostw nędznych, wilgocią oszedziałych. Zgarniając kiecki wiatrem rozchynione stało długo za węgłem bylejakim a tchu zachwyciwszy, szło dalej. Wedle zapadłych domostw cichych, jakoby pustych, wedle wałów miastowych i dalej, koło muru, który warownym kręgiem kościół i klasztor bernardyński opasywał. Kościół był zawarty, ale z za forty w murze uchylonej buchnęło światłem. Z szerokiego okna lało się światło w ciemne strugi wody i w urzeczone oczy chudziny. Wiatr przycichł. Pociągnęło ciepłem od okna i doszło śpiewem. Więc wahające podeszło ono nieboże i przylgnąwszy głową ku oknu, zajrzało.

Oślepiło ją. Ziąb parł do muru, do wnęki okna. Więc ułapiwszy kratę wciągnęła się cała na przymórek i przycupła w kupie łachmanów, jak kamień szara.

Z wnętrza krzyknęło śpiewem, słowami:

„Z raju pięknego miasta
wygnana jest niewiasta —
Dla jabłka skuszonego
przez węża podanego —
Umykaj Ewo z raju
już cię tu dobrze znają —" —

huczały grube głosy bernardyńskie i inne przez nos ciągnione.



Dziewczyna zebrała się w sobie, nagłym ruchem, aż tu cienkie głosy niewieście zawiodły:

„Ach biada mi nędznej
niewieście strapionej —
Do raju trafić nie mogę
przez grzech straciłam drogę." —

W izbie wielkiej, strzeliście sklepionej, klęczała garść ludzi. Na środku stała kolebka zwyczajna, w jakiej kołyszą dzieci, ozdobiona suto wstęgami i kwiatem różnobarwnym, misternie wyrobionym.

„Ozkwitnęła się lilija
A to jest Panna Maryja" —

zaintonował ogromnym głosem ojciec gwardjan, z prawej strony kołyskę ostrożnym ruchem chwiejący. Pochwycił pulchną ręką brzeg jej z drugiej strony ojciec szafarz i melodję podjął, a za nim inni ojcowie wokół kołyski cyrkuł czyniący, zagrzmieli:

„Zrodziła nam syna
wesoła nam dziś nowina."

Śpiewali. Oni i znajomkowie różni, parafianie klasztorowi bliscy i oddani, co na tę uroczystość w pierwszy dzień narodzenia Bożego się zeszli. Na posłaniu z jedwabnych poduszeczek, w korunkowe chusty owinięte Dzieciątko Jezus malutkie tulało główką złotą od glorji i włosków jasnych w kędziorki zwitych.

„Panno nad pannami
módl się dziś za nami."

Za kołyską stała figura Matki Bożej, niewysoka, w sztywne szaty strojna. Woskową twarzą prosto zwrócona patrzyła słodko dwojgiem lazurowych oczu, przed się, w okno.

„Gwiazdy się z nieba spuszczają
wielkie wesele stąd mają,
Wdzięczne niebieskie obroty —
świat się weseli z ochoty."

Za oknem wicher dął i śnieg z deszczem zacinał. Mrok oblał czarnym inkaustem wszystko, prócz twarzy jednej w ramę kraty oprawnej.

W izbie na ścianach ruszyły się bure cienie. Powstali. Ceremonia skończyła się. Z okna spełznął szary kształt i przywarł do ziemi. Wychodzącym mrok padł na oczy, jakby makiem gęstym a wiatr słowa z ust kradł.

— Z Bogiem zostawajcie! — Z Bogiem!

— Jakoż to nam przebrnąć przyjdzie przez te roztopy!

— Oj! niezdarzoneż to Bożenarodzenie, niezdarzone! Niczem zaduszki!

— Wicher wyje, powiesił się ktosik!

— E — nie powiadajcie kumo!

Poszli i ojcowie odeszli, po dwóch korytarzem długim do cel odległych. Jeszcze ktoś, kto po izbie się krzątał, wypadł śpiesznie na podwórzec, fortę w murze zatrzasnął i zapory dźwiękliwe założył a potem, duchem wracał i drzwi zatrzasnąwszy odszedł, powłócząc trepami.

Po długiej chwili uchyliły się szparą niewielką drzwi, byle jak zamknięte. I drugie, od izby rozwarły się bez skrzypu. Weszła. Chybnęły się płomienie dwóch świec. W izbie był zaduch ludzki i ciepło. Od proga prosto ku kołysce zmierzała bynajprędzej, gotowa wziąć, tulić. Aż tu o krok jeden spotkały ją oczy, lazurowe, słodko patrzące — i wzbroniły.

Stanęła i chustę z głowy zdarłszy, wybłysła twarzą młodzieńką a zbiedzoną. Pod bok zuchwale się wsparła i zakrzykła:

— A toż czemu? —

Cztery kąty izby odkrzyknęły wraz. Więc strachem nagłym schylona, dwojgiem ócz ostro lśniących wpatrzona w woskową twarz, szeptać zaczęła szeptem świszczącym, z wielkiem rąk rozkładaniem:

— Magdalanka jestem. Dziewka z zamtuza. Prawda jest. A dziecko twoje? Nieprawda, moje jest. Takusieńkie samo miałam — takusieńkie — pod sercem mnie parło główką złocistą — trzewia mi szarpało rączynami. — A zaś to — że mnie pachoł w brzucho kopnął — gdy mnie do turmy brał o ten płótna skraweczek com go skradła, to nieprawda, to mi się chyba we śnie widziało. To nieprawda żem nieprzytomna zległa i że płód mój, dzieciątko moje jak śmieć wyrzucili — nieprawda — nieprawda — nieprawda —.

Trzęsła chudymi rękami przed woskowem obliczem, aż umęczona obsunęła się na kolana. Nieprzytomnie chwiejąc głową prawowała się szeptem najcichszym, schrypniętym: — widzisz, widzisz Matko Boża, tak ci tu dobrze, ciepło, szatki masz jedwabne, a ja — albo to mam co własnego? Albo te szmaty i te gnaty moje? Tylko to dzieciąteczko — oddajże mi — tak się tu kajam, ja, Magdalanka. —

Wysiłkiem ostatecznym objęła miłośnie kołyseczkę i uśmiechając się główce złocistej, rączynom malutkim — śpiewała głosem, który zamierał:

Witaj synku najśliczniejszy
witaj że mi najwdzięczniejszy
Li li li, li li li memu — dzieciątku — małemu.

— — — — — — — — — — — — — —

Z lazurowych oczu Matki Bożej, w ciepłym blasku bliskiej świecy, płynęły duże woskowe łzy.

JANINA OSIŃSKA

KOLĘDNICY

Pierwszy znać o nich dawał psa zjadliwy szczek...
(pies nazywał się Asan. Podczas wojny zdechł...)
Potem brzęczał wzdłuż domu twardy, chrupki śnieg,
póki wreszcie, pod okien błoną zamarzniętą
nie zagrzmiała, runęła, ciemna noc — kolędą!
...Przy oknie, kufer duży, dudniący jak grzyb,
łomot białej, składanej, wąskiej okiennicy
i my — my wszyscy mali — przypadli do szyb!
Za szybą kolędnicy!
Tak jasno i tak dziwnie i tak jakoś nowo...
Fartuszek przy fartuszku a głowa nad głową.
A tam, mrozem i śpiewem dymią twarze obce
i tak cudnie, tak ciepło i tak złoto w szopce —
i tak złoto, tak ciepło i tak cudnie w nas!
Za nami pokój bezpieczny, znajomy i nasz,
i jeszcze na wszystko za wcześnie,
i jeszcze na wszystko czas!

Boże... Boże... Mój Boże!
Czy teraz już i czarność jest inna na dworze?
Czy teraz i kolędy mają inny smak
że mnie zawsze goryczą w gardle dławią tak?!
Gdzie serce w którem złoto bywało jak w szopce?
Gdzie pokój w którym swojskie były nawet noce?
Co się stało z tym czasem co go było... tyle?!

...Dopalił się ogarek przykapanej świecy,
odeszli kolędnicy,
czas mi tak pokrajało na lata i chwile
że mi już wszystko jedno na co resztę potną.
Serce dziś — co już tylko robaczywy grzyb.
Od okna wieje pustka, mróz i noc i strach...
Ah! I czuję, jak moja zgorzkniała samotność
kolczatemi ostami przymarza do szyb...

BEATA OBERTYŃSKA

KOBIETY CAŁEGO ŚWIATA WOŁAJĄ O ROZBROJENIE

CZY wielka konferencja rozbrojeniowa, zapowiedziana na rok przyszły (luty 1932) i mająca odbyć się w Genewie pod skrzydłami opiekuńczemi Ligi Narodów, posunie istotnie naprzód kwestję przygotowania pokoju światowego, a choćby tylko europejskiego? Czy spełni nadzieje jednych, a zażegna obawy drugich? Czy wogóle będzie zwołana? Czy dojdzie do skutku?

Co polityk — to inna będzie odpowiedź: sprawa jest w każdym razie niezmiernie krucha, w języku dyplomatycznym „delikatna". Jest kłopotliwa dla tych, którzy mogliby mieć przytem coś do stracenia, i żenująca dla tych, którzy chcieliby coś zyskać — oczywiście, z punktu widzenia polityki.

Niejedna grupa, niejedno państwo wolałoby, by sam pomysł zwołania tej konferencji poszedł na dno... Chodzi o pancerniki, o gazy trujące, o przemysł wojenny, o ilości korpusów uzbrojonych...

Ale są siły w narodach, które równocześnie sprzysięgają się na to, by ta konferencja odbyła się, by, nawet! dała koniecznie jakieś rezultaty realne (prócz niezbędnych frazesów).

Wśród tych zawziętych zwolenników doprowadzenia do skutku konferencji rozbrojeniowej powszechnej, występują na pierwszy plan międzynarodowe organizacje kobiece.

Ich sposobem działania jest głośna, szeroka propaganda.

Najenergiczniej w tej akcji postępuje Anglja, która w ostatnich czasach stała się terenem daleko idących zmian poglądów w społeczeństwie. Tam organizacje kobiece zorganizowały w ciągu tego roku setki zebrań publicznych, na których występowali wybitni politycy, duchowni, działacze, nawołujący do pokoju i rozbrojenia powszechnego. Odezwy rozbrojeniowe podpisało już w Anglji półtora miljona osób!

Wśród międzynarodowych organizacyj kobiecych najaktywniej szerzą tę propagandę trzy: Kobieca Międzynarodowa Liga Pokoju i Wolności (Ligue Internationale des Femmes pour la Paix et la Liberté), Międzynarodowy Związek Praw Wyborczych i Pracy Obywatelsko-Politycznej Kobiet (Alliance Internationale pour le Suffrage et l'Action Civique et Politique des Femmes) oraz Wszechświatowy Kobiecy Związek Międzynarodowego Porozumienia (Union Mondiale de la Femme pour la Concorde Internationale). Każda z tych organizacyj ma swe oddziały w kilkudziesięciu krajach świata, dwie pierwsze również i w Polsce, trzecia obecnie nawiązuje kontakt z Polską.

Każda z tych central międzynarodowych wydała odezwę, nawołującą do rozbrojenia. Odezwy, podpisane przez zwolenników tej idei, będą przedłożone Konferencji Rozbrojeniowej, jako wyraz woli i żądań narodów, w pierwszej linji zaś kobiet jako tego żywiołu, który najbardziej pragnie urzeczywistnienia pokoju i przeprowadzenia rozbrojenia powszechnego.

Odezwy te mają różną wartość ideową i polityczną. Są dość ogólnikowe, tak że podpisanie ich wydawać się może niejednemu tylko wyznaniem wiary — w gruncie rzeczy jednak tekst ich ma określone ramy polityczne.

Międzynarodowa odezwa rozbrojeniowa, ustalona wspólnie przez szereg organizacyj kobiecych, brzmi:

„Podpisujemy niniejszą deklarację w przekonaniu, że

„dzisiejsza polityka zbrojeń nie daje narodom bezpieczeństwa, a przyczynia się do ruiny gospodarczej,

„taka polityka prowadzi w sposób nieunikniony do wojny,

„każda przyszła wojna będzie zagładą powszechną,

„wszelkie zapewnienia pokoju ze strony rządów nie mają żadnej wartości, dopóki państwa nie znajdą środków, umożliwiających rozbrojenie, co winno być wynikiem paktu (Briand-Kelloga) o potępieniu wojen".

Hasłami tej odezwy są zdania: „Wojna jest potępiona! Żądajmy potępienia wszelkich środków wojennych!"

Odezwę tę wydrukowała i rozrzuciła w miljonach egzemplarzy Liga Pokoju i Wolności, przyczem Polska Sekcja Ligi dodała w tekście słowo „bezpieczeństwa" w zdaniu: „dopóki państwa nie znajdą środków bezpieczeństwa, umożliwiających rozbrojenie", podkreślając tym sposobem polski punkt widzenia.

Tę samą odezwę rozpowszechnia Wszechświatowy Kobiecy Związek Międzynarodowego Porozumienia, jakkolwiek nie jest, jak Liga Pokoju i Wolności, organizacją typu politycznego, lecz propagandowo-wychowawczego.

Odrębną deklarację wydał Związek Praw Wyborczych i Pracy Obywatelsko-Politycznej. W polskiem tłumaczeniu — bardzo niefortunnem pod względem językowym — brzmi ona:

„Kobiety polskie wyrażają swe głębokie zadowolenie ze zwołania konferencji rozbrojeniowej w r. 1932 i liczą, iż odpowie ona nadziejom ludów, realizując pierwszą znaczną redukcję zbrojeń przy zapewnieniu bezpieczeństwa narodowego.

„Traktat wersalski rozbroił niektóre narody, nietylko by zapobiec agresji, ale i jako zapoczątkowanie rozbrojenia, które powinno być powszechne. Pakt Ligi Narodów obiecał to uroczyście, a pakt Briand-Kellog potępił wojnę.

„Jeżeli rządy, reprezentowane na konferencji 1932 r., zrealizują istotnie zapoczątkowane rozbrojenia, gwarancje pokoju wzrosną dzięki temu poważnie. A rządy postąpią tak, o ile nakłonią je do tego narody, których kobiety są jednym z najpoważniejszych czynników".

Bardziej oportunistyczne, mniej idealistyczne — jednem słowem bardziej umiarkowane i ograniczone są postulaty tej odezwy.

W każdym razie nie braknie Polek i nie powinno braknąć wśród kobiet świata, żądających rozbrojenia w tej, czy innej formie, potępiających wojnę, straszliwą niszczycielkę ludów.

Wszystkie oświadczenia kierowników polskiej polityki zagranicznej zawsze podkreślają zasadę pokojowości Polski, która nie chce z nikim prowadzić wojny, chce jednak ze strony sąsiadów wzajemnego poszanowania swych praw i granic. Udział kobiet polskich w podpisywaniu odezw rozbrojeniowych będzie tylko potwierdzeniem słów i zapewnień naszych ministrów.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

BEZCELOWA TORTURA

CAŁEMI epokami przedzieleni jesteśmy od średniowiecza, kiedy cierpienie uzasadnione było samo w sobie, kiedy treścią życia licznych pokutników było zadawanie sobie coraz to nowych katuszy.

Człowiek dzisiejszy poprostu nie rozumie ideału samoudręczania się w obliczu codzienności, która nie proszona, od powijaków do trumny, nastręcza na każdym kroku tyle cierpień — w obliczu licznych zadań i celów krótkiego życia. To też amator, który cierpi bez przyczyny, który mogąc nie usuwa źródła swoich nieszczęść, nazywa się poprostu — niedołęgą, a ten który rzuca się w ogień naoślep — szaleńcem.

Impulsem dzisiejszego postępu jest chęć usunięcia niedogodności życia i zracjonalizowania wysiłków.

Niestety — do dziś dnia w pewnych dziedzinach człowiek wedle wzorów, przekazanych z poprzednich epok, prowadzi politykę niedołężnego marnotrawstwa sił i szaleńczego wprost uporu w kultywowaniu prymitywnych form życia. — Taką dziedziną ugorującą jest świat zagadnień seksualnych. Spojrzenie wokół siebie oczyma własnemi bez uprzedzeń narzuconych przez wiekową tradycję, odczucie tragedyj ludzkich sercem żywem, bez podszeptów potępienia opinji — wykazuje aż nadto jaskrawie, że nie sekundy i minuty, ale ręce robocze, twórcze głowy i całe życia ludzkie marnują się codzień, pogrążone w bezcelowem cierpieniu. Uparte przypominanie tej prawdy stanie się dopiero wtedy zbyteczne, gdy zdobędziemy się wreszcie na usunięcie pozostałości średniowieczyzny.

Rzeczywistość ciągle jeszcze przeraża wymową faktów. Oto serje obrazów, których motywem jest codzienne życie:

Młoda urzędniczka zwierza się w chwili szczerości: „Byłam kiedyś szczęśliwa, jako młodziutka dziewczyna wyszłam zamąż za człowieka kochanego. Chciałam bardzo mieć swoje maleństwo. Natychmiastowemu spełnieniu tęsknoty — sprzeciwił się mąż, tak ze względu na mój młody wiek, jak i z powodów finansowych. Narazie pieniądze wystarczały tylko na dwoje, postanowiliśmy więc mieć dziecko później. Niestety, wbrew woli przyszla ciąża; przecież nikt nie chciał lub nie umiał poradzić, jak się jej skutecznie uchronić. Specjalista odmówił pomocy, z opresji uratować nas mogła tylko akuszerka. Skutek: krwotoki, komplikacje, schorzenie już nietylko organów kobiecych, ale i nerek. Sześć tygodni po ślubie położyłam się na długie miesiące. Dziś, choć już parę lat przeszło od tej chwili, zdrowie ciągle szwankuje. — A szczęście? — Zostało za drzwiami lekarza. Po stronie męża rosła potrzeba mlodości, pełnego, swobodnego życia, nieskutego z łóżkiem chorej żony, po mojej — żal. Jestem samotna, ani męża, ani dziecka, które przecież po paru latach spokojnego współżycia mogłam szczęśliwie urodzić."

Inny obraz: Izba robotnicza, zamieszkana przez kilkanaście osób, między innemi przez rodzinę bezrobotnego. Żona — praczka i ledwo nędzy wydarte dziecko. Ojciec dniami całemi szuka pracy, matka — prania. Przyjmować jej do roboty z dzieckiem — nie chcą. Zarabia więc zaledwie kilkanaście złotych miesięcznie. Rozgoryczona postanawia: „jeśli jeszcze jedno dziecko się urodzi, umrę z niem razem". — W oczach zdecydowanie i zawziętość.

Zajrzyjmy zkolei do pierwszej lepszej gazety. W kronice policyjnej natrafimy niezawodnie na sprawozdanie tej treści: „Dziś przy ulicy NN. w bramie Nr 12 usiłowała popełnić samobójstwo zapomocą esencji octowej 19-letnia Józefa G. Desperatkę odwieziono do szpitala Dz. J.". Zajęcie się bliższe sprawą wykazuje, że ta młodziutka dziewczyna jest opuszczoną matką. Do pracy ze względu na przeszłość nikt przyjąć jej nie chce. Podrzuciła więc swoje maleństwo w bramie przytułku. Ojca dziecka kochała. Warunki finansowe i rodzinne nie pozwoliły na małżeństwo.

Ślepa polityka populacyjna, w imię której kazano tej dziewczynie rodzić, przeoczyła cenę zamówionego towaru ludzkiego — życie matki. Embrjon, broniony przez prawo, jest tylko wielkim znakiem zapytania, jako wartość społeczna. Matka — sprawdzoną już siłą roboczą. To proste zestawienie świadczy dobitnie, na którą stronę logika życia winna przechylić szalę wyroku. Ta sama dziewczyna, która dziś błaga o spędzenie płodu, zapewne już za lat parę, może za rok, zdobywszy lepsze warunki bytowania — wyczekiwać będzie niecierpliwie głosu spodziewanego dziecka.

Jeszcze jeden naprawdę dantejski obraz: sala porodowa. Można znieść w milczeniu ten ogłuszający ryk cierpienia, jeśli się wie, że owoc jego — dziecko — będzie potem radością, pomocą matki. Uczciwość nie pozwala milczeć, gdy się słyszy od pielęgniarki, że dla wielu z tych kobiet bóle porodowe są zaledwie prologiem gehenny czekania z dnia na dzień na śmierć dziecka. — Zaropiałe oczy luetyczne i charłactwo matki — oto całe bogactwo, jakie przynosi na świat niejeden upragniony obywatel.

Trudno bodaj na chwilę o tem piekle zapomnieć! Znowu ktoś uparcie opowiada o ofierze okrutnego kodeksu. Niewiasta wyczerpana czuwaniem miesiącami przy dogorywającym na gruźlicę ojcu poczętego życia — szuka ratunku u lekarza, który „naraża się" dla pieniędzy. Wymowny epilog: boleśnie skrępowana, najwstydliwiej obnażona, słuchać musi dowcipów i „uwag rzeczowych" na temat swej urody i budowy — słów siekących jak bicze. Upokorzone człowieczeństwo — dolega dłużej, niż ból skrobanki. — Przykłady można mnożyć i mnożyć w nieskończoność, są one przecież życiem i słowami setek i tysięcy kobiet, i tych eleganckich, zwykle uśmiechniętych na ulicy i skromnych matek z wózkami i wesołych studentek, handlarek ulicznych i tych najtragiczniejszych z peryferyj.

Podziwia się czasem i szanuje to cierpienie wypływające z płci, uczucie głębsze tłumi jednak wytarty liczman: „Trudno, to jest zadanie życiowe kobiety". — TO NIEPRAWDA!! Zadaniem kobiety jest rodzenie dzieci zdrowych i mających gwarancję wychowania, a nie rodzenie ciągłe i bezustanku, nie wychowywanie dzieci chorych, niezdolnych do życia, nie ocieranie łez nad małą trumienką, nie umieranie u progu życia w rękach akuszerki.

Ogrom bezcelowości cierpienia kobiety zrozumieli członkowie Komisji Kodyfikacyjnej i w projekcie nowego Kodeksu Karnego zamieścili postanowienie:

„Niema przestępstwa, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przytem był konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, jej ciężkie położenie materjalne, dobro rodziny lub ważny interes społeczny."

Obowiązkiem kobiet, nie reprezentowanych wcale w Komisji Kodyfikacyjnej, jest wyrażenie największego uznania ludziom, którzy potrafili odczuć i zrozumieć piekącą potrzebę reformy. Chcemy wierzyć, że grono ich stale się zwiększa i że wkrótce projekt stanie się obowiązującem prawem.

A zwolenników dawnych metod postępowania można zapewnić, że nikt ich nie zmusi do stosowania środków ochronnych lub przerywania ciąży. — Spokojni o swoje zasady niech pozwolą innym żyć zgodnie z sumieniem i istotną potrzebą życiową. I tak pozostanie nam jeszcze w udziale długi rejestr chorób kobiecych, długi rejestr cierpień, przed któremi nie obroni nas żadne prawo.

IRENA CHOREWICZ

ŚLADEM PRYMITYWU GÓRALSKIEGO



Jan Gąsienica Szostak

RODZINA GĄSIENICÓW

JEST na Podhalu ród Gąsieniców, tak stary chyba jak samo Podhale. Różnie bają tu gazdy o tem, skąd się wziął i dlaczego się tak nazywa.

Opowiadał mi na werandzie dziewięćdziesięcioletni Gąsienica-Jacak (który będąc chłopcem z Chałubińskim i Sabałą po górach chodził) — taką historję:

„Bardzo już dawno — nikt nie zapisał kiedy to było — przywędrował na Podhale generał jakiś z rodu książęcego, może nawet cesarskiego, wysoki, dorodny Niemiec — w stroju, który się starym góralom wydał wielce osobliwy. Miał żółte lampasy, szerokie poprzeczne wstęgi na piersiach, lśniący złoty kapelusz. Był bardzo zmęczony, bo uciekł z wielkiej wojny i wędrując zdaleka, skrył się przed władzą, aż tutaj w tym kraju, gdzie góry broniły dostępu wszelkim pościgom. Górale, ujrzawszy tę postać dziwną, jakby prążkowaną wstęgami, orderami i lampasami, a wlokącą się ze zmęczenia tak wolno, nazwali przybysza „*Gąsienicą*”.

Nikt nigdy nie dowiedział się jego nazwiska prawdziwego, pozostał „Gąsienicą, do śmierci. Zrzucił swoje wstęgi, wdział kożuch barani i cuchę, kierpce i klobuk z piórkiem. A choć się teraz upodobnił do wszystkich, został w pamięci zielono-żółtą, pasiastą gąsienicą. Ale została w nim także pańskość i wytworność, duma i pycha, a nadewszystko chęć przewodzenia gromadzie. On i synowie jego — bo ożenił się tutaj — wyróżniali się i urodą, i postawą, i obyczajami. Taki to pan dziwny — przybysz niewiada skąd — może książę, może potomek cesarski — był założycielem rodu prastarego: Gąsieniców.



Jan Gąsienica Szostak „*A słowo ciałem się stało*”

Pasali potem Gąsienice owce, polowali na niedźwiedzie jak inni górale, ale już na zawsze pozostało w nich coś odrębnego, coś „pańskiego”, co ich odróżniało od prostej gromady.”

Ile jest prawdy w tej legendzie, trudno dociec, żadne kroniki nie zapisały podobnego zdarzenia. Może tylko przemówiła tu fantazja Sabały, bo to Sabała właśnie historję tę opowiadał Gąsienicy-Jacakowi. W każdym razie jest to ród bardzo stary, zasłużony i wyróżniony na Podhalu: arystokracja góralska.



Jan Gąsienica Szostak — „*Hej, idę w las*”

Pasali owce na swoim gruncie, na hali, a więc „Hala Gąsienicowa”, blisko staw Czarny, więc także Gąsienicowy. I turnia Gąsienicowa.

Któryś z naszych pisarzy — zdaje mi się, że Rydel — podzielił arystokrację góralską na trzy rody: Gąsieniców, Bachłedów i Tadziaków. Rozrośli się Gąsienice w potężny ród, a więc trzeba było dodawać przydomki. Stąd Gąsienice-Szostaki, Gąsienice-Jacaki, Gąsienice-Sobczaki, Gąsienice-Krzeptowscy. Sabała był też Gąsienica.

Jest w Zakopanem malarz osobliwy: Jan Gąsienica-Szostak i właśnie o jego malarstwie chcę tu pisać.

Już dziadek Kubuś Giewont był pewnego rodzaju osobliwością na Podhalu. Wysoki, piękny chłop, chodził sobie z dwumetrową „*siągą*”* i zwojem drutu i mierzył grunty. Był takim sobie dziwnym *gieometrem*, co to nie umiał ani czytać, ani pisać, jakieś tylko grube krechy siągą znaczył, w pamięci wszystko „do kupy” zrachowywał i nigdy się nie pomylił; czy dolinka, czy wzgórek, czy wyrwa, wszystko było wymierzone jak najdokładniej, aż inżynierowie przyjeżdżający z Nowego Targu nie mogli wyjść z podziwu, że ten domorosły matematyk i „gieometer” wyliczył, wymierzył wszystko tak dokumentnie. Jakieś tam krechy pewnie oznaczały metry, inne znaki centymetry, jakaś tam była w tem wszystkiem wyższa góralska *spekulacja* i medytacja. Poważnionych godził, kłócących się zbił często gęsto swoją siągą po plecach, miał hyr i szacunek na całem Podhalu. Nie było tygodnia, ba! dnia nawet, by nie zatrzymywały się wózki przed jego gazdowstwem. Jechał Kubuś Giewont, podhalański *gieometer*, mierzyć grunt. Starzy kiwają głowami:

— Już dzisiaj niema takich.

* Od słowa „sążeń”.







Jan Gąsienica Szostak „*Z weselem jadą*”

Ojciec Jana Gąsienicy-Szostaka, gazda z długą brodą, wyglądający jak św. Mikołaj góralski, cości tam sobie wieczorami za dawnych lat dłubał w drzewie, ciął uparcie i nieraz wyszła z tej dłubaniny kózka jak żywa.

Takie to są Gąsienice i z takich to pochodzi malarz zakopiański Jan Szostak.

STARE MALARSTWO GÓRALSKIE NA SZKLE

Stare, prymitywne malarstwo na szkle jest ciekawym i oryginalnym działem sztuki podhalańskiej, podobnie jak i budownictwo ludowe, rzeźba, haft. Niestety, z obrazów na szkle zostały już dzisiaj tylko niedobitki. Zbiór w muzeum zakopiańskiem i parę prywatnych. Księża sami kazali te „bohomazy“ niszczyć i zastępować oleodrukami.

Konstanty Kietlicz-Rayski, malarz i teoretyk niepośledniej miary — wspomina o tem* jak to raz pani Dembowska zobaczyła „*nad strumieniem jakiś różnobarwny wał*“ i nie mogła dociec coby mógł oznaczać. Dopiero góralka przechodząca objaśniła: „A to jegomość ks. Stolarczyk kazali śkła malowane, jakieby nie były potłuc i do wody wrzucić. Woda wezbrała i te kawałki obrazów wyrzuciła na brzeg“. Tak się opiekowano na Podhalu prymitywami na szkle.

Kasprowicz, który przepadał za temi oryginalnemi bazgrotami i miał niemi udekorowaną całą jadalnię na Harendzie — nieraz narzekał na to, że sami księża niszczyli te zabytki.

Szkło, mimo że jest materjałem bardzo trudnym, daje efekty nieoczekiwane. Jest to niejako malarstwo *naopak* a celowali w niem dawni mistrze holenderscy. Czytamy u Haberlandta w „Oesterreichische Volkskunst“, że malowanie na odwrocie szkła było już znane w Bizancjum, skąd przeszło do Włoch, a potem do Francji i Austrji. Bogato i pięknie rozwinęła się ta sztuka w XVIII i XIX wieku po drugiej stronie Tatr, na Słowaczyźnie.

Obrazy na szkle, które widywałam w muzeach i chatach słowackich, mają wiele wspólnych cech z obrazami podhalańskiemi. Na Orawie i na Spiżu można je często oglądać w chatach słowackich — po naszej stronie Tatr są już rzadkością.

Ileż naturalnego wdzięku mają te prymitywne, szerokookie Barbary, te płaskonose Weroniki, te Florjany o twarzach zawziętych zbójników, ci apostołowie twardzi, siedzący w wieczerniku: dymnej chacie góralskiej w taki sposób jakby dopiero co wrócili z hali od owiec! Obok śmiesznej poprostu nieporadności i nieuctwa wprost barbarzyńskiego uderza nas nagle jakiś nieoczekiwanie harmonijny zespół plam, albo ornament pomyślany z wdziękiem i smakiem.

„CICHY PAN“

Był artysta skromny, raczej teoretyk, aniżeli malarz, oryginał, kiedyś pan bogaty, który w szerokiej pelerynie i dziwnym kapeluszu włóczył się po Podhalu i zbierał cenne, stare zabytki. Przezwal go Orkan „cichym panem“. „Cicho mówi... Zaiste. Głośni są często jak cymbały brzmiące. A on mówi cicho rzeczy ważne“. (Wł. Orkan). Kietlicz-Rayski, malarz, uczeń Gersona i Wyczółkowskiego, zbieracz bajek i piosenek ludowych, literat piszący prosto i barwnie — jest postacią zrośniętą na zawsze z Podhalem. Był krytykiem, publicystą, ilustratorem, recenzentem teatralnym, a nawet aktorem. Czemże się nie zajmował ten szlachetny oryginał! Malarstwo ścienne, sztuka dekoracyjna, teatr, folklor, typografja, wycinanki i pieśni ludowe, hafty, zdobnictwo i budownictwo — na tem wszystkiem znał się jego umysł szeroki, encyklopedyczny. Co za postać — kiedyś do monografji. Przyjaciel Orkana i kuzyn Tetmajera — ze smutkiem patrzy jak giną ostatnie obrazy na szkle. Sam nauczył się trudnej techniki szkła, kopjuje stare prymitywy.

Zaszedł raz ten chory na płuca, cichy pan na ulicę Kościeliską i poznał przypadkowo syna Gąsienicy-Szostaka, Jasia, który był wtedy uczniem zakopiańskiej szkoły przemysłowej, no i obejrzawszy jego rysunki i rzeźby zaczął się nim opiekować. Jemu zwierzył wszystkie trudne sekrety malarstwa na odwrocie szkła, jego wybrał na swego następcę, uczył, zachęcał, kształcił i pogłębiał talent młodziutkiego artysty.

Przybiegł raz na Kościeliską, zadyszany wielce — bo miał astmę — i „chodźże smyku, zobaczysz pięknie stylizowane kwiaty na gorsecie, to ci się do ornamentu może przydać“ — mówi. I oto cóż się okazuje! Kwiaty stylizowane, któremi tak zachwycał się znawca sztuki ludowej, były pomysłu matki Jana Gąsienicy-Szostaka, jednej z najładniejszych wówczas gaździn w Zakopanem. Sama komponowała rysunki i haftowała. Dziś jeszcze matka artysty i siostra zajmują się tą piękną pracą.

I tak „cichy pan“ — pchnął na tę żmudną drogę swego następcę, bojąc się, aby z nim razem nie umarł sekret malowania na szkle.

MALARSTWO GĄSIENICY-SZOSTAKA

Jan Gąsienica-Szostak — to postać dobrze znana na bruku zakopiańskim. W tłumie, na Krupówkach już zdaleka widzimy jego czarny, szeroki kapelusz, jak ongiś poprzednie pokolenie widywało kapelusz Kietlicza-Rayskiego. Profil regularny, szlachetny profil rodu Gąsieniców — znany jest tutaj wszędzie.

Artysta rysował od dziecka. Talent dziadka, podhalańskiego gieometra, ojca rzeźbiącego w drzewie i matki, komponującej stylizowane kwiaty na serdaki, odziedziczył artysta i poszedł już drogą sztuki. Sam chętnie opowiada z prostotą — jakto zamiast grabić siano „na Lipkach“ wolał rysować psy i konie. Rodzice oddali chłopca do gimnazjum, potem skończył kurs rzeźby figuralnej w Zakopanem, malarstwo dekoracyjne studjował u prof. Bukowskiego w Krakowie. Studja pogłębił podczas dłuższego pobytu w Paryżu, kształcąc się u słynnego prof. Klaudjusza Casteluch'a.

Paryż nie był słodki dla artysty. Na któremś tam piętrze walczył z niedomaganiami pieniężnemi — ale wrócił odświeżony, z głębszym zasobem wiadomości.

Misterne cacka na szkle, stylizowane oryginalnie tryptyki budzą zawsze podziw na wystawach w Warszawie, Zakopanem, Łodzi i Poznaniu. Tematy obiera artysta religijne i świeckie, tak samo jak ci wszyscy jego pradziadowie, nieznani artyści, nakładający nieuczoną, zgrubiałą ręką farby na szkło w dymnej chacie.

Jan Gąsienica-Szostak oparł się zupełnie o prymityw. Stąd ta świeżość, chwilami naiwność wdzięczna, a także ciekawa kompozycja. W pierwszym okresie dawała się odczuwać u artysty pewna niebezpieczna nuta secesji, która mogła zgubnie zaciążyć na jego talencie. Dzisiaj artysta wyzwolił się z pod tych wpływów i idzie drogą konsekwentnej stylizacji.

Malarstwo na szkle jest rzeczą niesłychanie żmudną; artysta malując do końca nie wie jak wypadnie obraz, jaki efekt da ten nigdy nieobliczony materjał.

Jan Gąsienica-Szostak dzięki Kietliczowi-Rayskiemu posiadł sekrety malowania na odwrocie szkła i jest dzisiaj *jedynym malarzem w Polsce*, który ten trudny rodzaj uprawia.

Głównemi tematami są oczywiście motywy góralskie: wesela, tańce i kuligi na sankach. Obrazy Szostaka znalazły w Paryżu pełne uznanie jako interesujący egzotyk. Były nawet reprodukowane w Japonji.

KAZIMIERA ALBERTI

* „Sztuka góralska na Podhalu“. Lublin 1928.

O WESELU CÓRKI SZERYFA, „KOBRZE" I INNYCH AFRYKAŃSKICH CUDACH I OKROPNOŚCIACH

...BYŁ TO, zaiste, zgoła niesamowity zbieg okoliczności.

Wróciliśmy właśnie z tak fantastycznego widowiska, jakiem jest bezsprzecznie wesele córki Sidi Achmeta uld Sidi-el-Hosni, szeryfa Mezzanu, świętego, czyli po arabsku *marabu*, i jednocześnie potomka w prostej linji samego Proroka.*

Młoda dziewica z tak wysokiego rodu, z pod tak „wielkiego namiotu", poślubiała kogoś, kto także sroce nie wypadł z pod ogona, bo szeryfa Mulaj Achmeta ben Tuchani, również potomka Mahometa i również, jak jej ojciec, świętego. (Nie należy zapominać, że muzułmański święty nie ma nic wspólnego z ascezą. Jest to przeważnie wspaniały, „stuprocentowy" mężczyzna, często zupełnie młody, mający cztery przez Koran „przepisane" żony, harem faworyt i całą kohortę dzieci. Świętość jego polega głównie na wielkiej mądrości, wielkiem miłosierdziu, pobożności i czynieniu cudów.)

Wesele to miało za tło przedziwnie malownicze dekoracje, które stworzył Bóg i jego pokorny imitator — człowiek, a na których widok wszyscy reżyserowie i *metteurs-en-scène* samego Paramountu potraciliby chyba głowy z zachwytu.

Moje niedołężne pióro opada, przerażone własnem ubóstwem, jednak postaram się dać choćby blady obraz tego zdumiewającego spektaklu.

Zdala od zgiełku dwustotysięcznego, nawskróś europejskiego Oranu — niby czarowna wizja Sahary — oaza wysokopiennych palm arabskiego cmentarza i biała jak śnieg kaplica maurytańska — *kubba* z kopułą zakończoną złoconym półksiężycem. Z pod arkad kaplicy bucha w ciepłą, jasną noc październikową złote światło uroczystej iluminacji.

Na seledynowem niebie z ponad Góry Lwów, podobnej do wulkanu Fudżijama, dźwiga się powoli olbrzymi, czerwony księżyc w pełni. A koło bijącej światłami kapliczki, przy przeraźliwych dźwiękach piszczałek, tam-tamów i bębnów baskijskich, w krwawym blasku płonących pochodni tańczy oszalały tłum negrów w białych burnusach, w szkarłatnych fezach, owiniętych zawojem z muślinu.

Mają zakrzepłe w ekstazie twarze z lśniącego hebanu, nieprzytomnie wytrzeszczone oczy, pianę na szeroko otwartych, świecących dwoma rzędami potwornych kłów ustach. I tańcząc, śpiewają straszliwą, dziką pieśń o trzech nutach, pieśń pełną niewysłowionej melancholji w monotonji chrapliwych ciągle, ciągle tych samych dźwięków.

Zwarci w ciasny krąg, tańczą, drepcząc niemal w miejscu i nagle w dzikich podskokach wywijają nad białym turbanem drągami, sztyletami, płonącemi pochodniami i z ust ich wydziera się wraz z pianą gardłowy, ścinający krew w żyłach ryk czarnych wojowników, pędzących do boju.

Przepiękny, stary dostojnik arabski w szkarłatnym, haftowanym złotem burnusie wprowadza nas pod arkady kubby. Przez szeroko otwarte drzwi kaplicy widzimy wnętrze jej sanktuarjum jaskrawo oświetlone elektrycznemi żyrandolami i grobowiec zmarłego świętego, który stale oblegają rzesze pielgrzymów, okryty złocistym całunem i otoczony sztandarami o świętej, zielonej barwie Proroka. I na progu kaplicy wita nas uroczyście syn owego świętego, prawem dziedzictwa sam także *marabu*, Sidi Achmet uld Sidi el Hosni, ojciec panny młodej. Wspaniały starzec w nieskazitelnej bieli burnusa, z kapturem zarzuconym na wysoki, złocisty turban, z wielką wstęgą otrzymanego od sułtana Marokka orderu Missam Alauit i francuskim krzyżem Legji Honorowej na białej, jedwabnej gandurze.

Wita nas z czarującą, właściwą Arabom kurtuazją i po arabsku poleca opiece Allacha. Mówiący nieźle po francusku dygnitarz w szkarłatnym burnusie tłumaczy mu nasze podziękowanie za zaszczyt, jaki spływa na nas, gości potężnego szeryfa Mezzanu, świętego i znakomitego potomka Proroka.

Na skinienie przepięknego starca opasła Murzynka prowadzi mnie przez wąski, mozaiką wykładany korytarzyk do przylegającego do kaplicy pawilonu czyli prywatnych apartamentów świętego. Na *patio*, wewnętrznym dziedzińcu, wyłożonym marokańskiemi dywanami pod gwiaździstem niebem siedzi po arabsku, na skrzyżowanych nogach tłum milczących kobiet w białych haikach, w jaskrawych jedwabnych turbanach, ociekających złotym deszczem cekinów spadających aż na twarze tatuowane w niebieskie desenie.

Kilkadziesiąt par podkreślonych antymonem czarnych oczu patrzy na mnie niechętnie, a nawet wrogo.

— Rumja** nieczysta... Pożeraczka wieprzów... Worek zgnilizny — obrzucają mnie niememi komplementami moje arabskie siostrzyce po płci.

Wymijam czarne niewolnice z Sudanu. Klęczą nad miedzianemi misami i rękami mieszają *kus-kus*, kaszę z baranim mięsem, oliwkami, jarzynami i... rodzynkami. Z odważnym na ustach uśmiechem idę pokornie za Murzynką w fałdzistych, czerwonych szarawarach i rozmyślam, jak to te panie w białych haikach tak niedawno jeszcze w Marokku podczas rzezi chrześcijan rozdzierały na strzępy europejskich „pożeraczy wieprzów" i z lubością stroiły się w krwawe naszyjniki, splecione własnoręcznie z ciepłych jeszcze wnętrzności ofiar... Wyznaję ze skruchą, że jest mi trochę niewyraźnie, ale nadrabiam miną, jak mogę.

I nagle otwierają się jakieś wąskie, haremowe drzwi i mimo całego mego zblazowania nadmiarem tyloletnich egzotycznych wrażeń afrykańskich, — staję w niemem osłupieniu, czuję dreszcz szczerego, autentycznego zachwytu i oczarowanie przykuwa mnie poprostu do miejsca.

Ale potężny kuksaniec Murzynki wpycha mnie do owej czarodziejskiej komnaty, opanowuję się więc i „robię damę". Ściskam dzwoniącą bransoletami, malowaną henną na kolor jodyny rękę jakiejś szarpniętej już zębem czasu damy, strojnej w zielone jedwabie i straszliwie obwieszonej klejnotami. Następnie obcałowuję uroczyście swój własny duży palec prawej ręki i recytuję, jak papuga, wyuczony napamięć arabski komplement, któremu nie oprze się żaden wyznawca Proroka:

— Lalla Szerifa, dziękuję ci, żeś raczyła pozwolić mi wstąpić w progi twego domu. Jesteś szlachetna i wspaniałomyślna, jak wątroba kobiety. Niech błogosławieństwo Allacha spłynie na ciebie, o Lalla.

— *Baraka Łanfik* — odpowiada z powagą Lalla Szerifa, małżonka świętego Sidi el Hosni, a matka oblubienicy.

Ma na pewno ochotę wyrzucić mnie za drzwi, jako „pożeraczkę wieprzów", ale „kaida" — *savoir vivre* najwyższej arystokracji arabskiej, nakazuje jej uprzejmość nawet wobec takiego europejskiego „worka zgnilizny", jakim jestem ja, biedna sierota, zbłąkana w ten jaskrawy, obcy i tajemniczy świat.

I oto znów moje niedołężne pióro opada bezsilnie. Gdzie znaleźć słowa zdolne oddać niewymowny czar tego obrazu, którego nigdy nie zapomnę?

W brutalnem, ostrem świetle żarówek kryształowego żyrandola, na przeszło metrowej wysokości łożu ślubnem, pokrytem niby śmiertelnym całunem dziewicy, — białym, aż na podłogę spływającym brokatem, za nieco rozsuniętemi kotarami z takiegoż białego brokatu jaśniała tęczowym ogniem wysokiego, jak tiara diademu z brylantów nieruchoma niby posąg młodziutka, widmowo blada dziewczyna. Otulał ją przezroczysty welon oblubienicy, przez który lśniła biała, w srebrne kwiaty wytłaczana szata.

Siedziała wysoko, jak bóstwo na tronie, obłożona poduszkami z różowego jedwabiu, które od dzieciństwa długo, cierpliwie haftowała latami na tę jedną, jedyną noc. Miała zamknięte oczy, jak umarła i na pobladłych, dziewczęcych ustach coś, jak leciutki grymas cierpienia. Jej semicka twarzyczka o cienkim, orlim nosie i ociężałych od frendzli czarnych rzęs powiekach była niemal przezroczysta i niematerjalna, jak wizja majacząca skroś cienki tiul zarzuconego złotemi paljetkami woalu. Wątłe ramiona uginały się pod ciężarem amuletów w kształcie kobiecej ręki, naszyjników z pereł i cekinów, tak długich, że spływały aż na łono, na nieruchomo splecione małe, blade ręce o czerwonych od henny paznokciach i wątłych przegubach, obciążonych złotem do łokci sięgających bransolet.

— Oto moja córka. Narzeczona szeryfa Mulaj Achmeta ben Tuchani — wołającą o pomstę do nieba francuszczyzną poinformowała mnie z dumą Lalla Szerifa.

Przetarłam oczy, z westchnieniem zachwytu jak zaczadzona i by oprzytomnieć, powiodłam wzrokiem po tym niewielkim, niemal pustym pokoju o nagich, wapnem bielonych ścianach. Był wysłany materacami z błękitnego jedwabiu, na których w kącie siedziało parę milczących arabskich dam w ciężkich, złotem i srebrem haftowanych strojach. Dwie opasłe, świecące klejnotami Murzynki o bestjalskich twarzach pyszniły się bogactwem długich, marokańskich kaftanów ze sztywnego, fioletowego brokatu w złote kwiaty i patrzyły na mnie, żując słodycze, bez szczególnej życzliwości.

Niedaleko ślubnego łoża czekała na oblubieńca na niskim stoliczku z cyzelowanej miedzi taca z pysznemi ciastkami, zwanemi „różki gazelli" obok imbryka z herbatą z mięty i zielonych kryształowych szklaneczek.

A przez wąskie, haremowe drzwi, przez zamknięte żaluzje zazdrośnie białą kotarą zasłoniętego okna wdzierał się w uroczystą ciszę tej ślubnej komnaty głuchy łoskot tam-tamów i bębnów, monotonna, przeraźliwa nuta piszczałek, ochrypły wrzask szalejących we frenetycznym tańcu Negrów. — —

— Już trzy dni tak siedzi — objaśniała Murzynka, która mnie wprowadziła do białego sanktuarjum. — Od trzech dni nie wolno jej ani jeść, ani spać, ani mówić, ani patrzeć, aż do chwili, gdy ja, dadda* — wypięła z pychą swe potężne, dzwoniące cekinami łono — wprowadzę do tej ślubnej komnaty młodego Sidi, jej mał-

* „Echo d'Oran" z dnia 31/X. „Un grand mariage indigène à Oran".

** Kobieta europejska.

* Piastunka i karmicielka.

żonka, po udzielonem mu przez naszego Sidi el Hosni błogosławieństwie — zasapała się tak długą przemową.

Kolana ugięły się pode mną ze zgrozy. Trzy dni siedzieć nieruchomo na tem jedwabnem łożu, nie jeść, nie spać, nie mówić i nie otworzyć oczu... I jak tu nie paść na kolana i nie dziękować Stwórcy, że człek nie urodził się, jako córka świętego i szeryfa i że ominęło go podobne męczeństwo?

Pożądliwym zezem spojrzałam na „różki gazelli" i na imbryki z tą cudownie odurzającą herbatą ze świeżej mięty, po której życie wydaje się zabawną awanturą. Przyznaję, że byłam straszliwie głodna, gdyż na dźwięk piszczałek i tam-tamów, obwieszczających początek wieczornych uroczystości, zerwałam się jak oparzona i wybiegłam z domu bez kolacji.

Ale ani Lalla Szerifa, ani czarna „dadda" jakoś nie kwapiły się z poczęstunkiem. Niech „pożeraczka wieprzów" obejdzie się smakiem i słodkim zapachem wanilji i mięty. Niech „worek zgnilizny" nie wyobraża sobie, że to tak łatwo ni stąd ni zowąd wpaść nawet z zaproszeniem, do weselnego sanktuarjum panny szeryfianki, cór-



Sidi Achmed uld Sidi el Hosni ben Mulaj Brahim, Szeryf Mezzanu, święty i potomek Proroka

ki autentycznego świętego i potomka Proroka i opychać się bezczelnie ciastkami, które piekła może sama małżonka świętego, sama *madame* szeryfowa!

— Nie, to nie — pomyślałam melancholijnie i jeszcze raz z nienasyconą chciwością wpatrzyłam się w pałającą ogniem brylantowej tiary białą zjawę oblubienicy o męczeńskiej i jakby uśpionej twarzyczce.

— Ona jest piękniejsza od kwiatu jaśminu, od białej kozicy z pustyni, od perły winkrustowanej w święty pępek Proroka i od stu śnieżnych, rasowych klaczy. Jest bardziej wonna od najdelikatniejszej ambry i podobna do małej srebrnej lampy z filigranu, która oświetli wspaniały meczet serca Sidi Mulaj Achmeda. Jest słodkim owocem granatu, który ugasi jego pragnienie i niech będą błogosławione wnętrzności jej matki — wyrecytowałam uroczyście, żegnając się z Lallą Szerifą, która, pochlebiona, raczyła uśmiechnąć się i odprowadzić mnie do drzwi.

Ale trudno mi było rozstać się z czarownym obrazem młodziutkiej oblubienicy.

— Piękna? Dużo piękna? — wyszczerzyła potworne kły dadda-Murzynka i z całej siły trzasnęła się pięścią w zawiesiste łono. — Stara dadda mieć kiedyś dużo tłustego mleka i niem wykarmić tę białą gołąbkę.

Skłoniłam z szacunkiem głowę, gdyż zaiste w tych dwóch potężnych sakwach musiały kryć się w swoim czasie imponujące ilości mleka i wyszłam z żalem na patio.

— Niewierna suka — mruknęła jedna z „gołąbek",

Kilkadziesiąt par wrogich oczu przeszyło mnie znów grotem czarnych, błyszczących oczu, ale właściwie ich nie widziałam. Miałam jeszcze pod powiekami wizję jakby z obrazów Gustawa Moreau wyczarowanej białej, uśpionej księżniczki w śniegu i srebrze brokatów, cicho i pokornie czekającej na oblubieńca, na swój świetny, a może tragiczny los młodziutkiej szerify, żony, matki, kochanki i wielkiej damy, uginającej się pod ciężarem nieubłaganych prawideł „kaidy".

I przyznaję, że odurzona jedyną pięknością tego obrazu, jak we śnie wróciłam do wysłanego jaskrawemi dywanami przedsionka kaplicy i jak we śnie wypiłam kilka filiżaneczek upajającej, jak haszysz herbaty z mięty. Niezbyt przytomnie patrzyłam na oświetlone krwawym blaskiem pochodni twarze tańczących Negrów i gawędziłam bardzo przyjaźnie wraz z mym towarzyszem z szeryfem Sidi el Hosni.

„Pogawędka" polegała na tem, że piękny, siwobrody święty skroś zgiełk piszczałek, bębnów i tam-tamów krzyczał nam coś po arabsku, z czego, oczywiście, nie rozumieliśmy ani słowa i z ogromnem zainteresowaniem słuchał naszych niemal na całe gardło wykrzykiwanych odpowiedzi francuskich, z których także nie rozumiał ani słowa. Ale mimo to, byliśmy sobą wzajemnie zachwyceni, podkreślając mimiką i gestami niebywały zaszczyt, jaki nas spotkał ze strony jednego z najświetniejszych arystokratów i filarów Islamu, Marokka i Algierji.

— Duża honor, mnóstwo przyjemność — zapewniał nas jakiś bardzo brzuchaty dostojnik w piętrowym — *gennur* — turbanie z białego jedwabiu, oplecionym sznurami z wielbłądziej sierści, na znak, że brzuchacz pochodzi „z pod wielkiego namiotu".

Jak przez sen ściskałam dłonie jakichś niesłychanie dekoracyjnych dygnitarzy we wspaniałych burnusach z najcieńszej wełny i jedwabiu i rozmawiałam z pewnym świetnie literacką francuszczyzną władającym młodzianem w szafirowo-złotym burnusie i błękitnej gandurze spiętej na piersiach brylantowemi guzami. Był trochę podobny do Valentina i jestem pewna, że wszystkie Czytelniczki „Świata Kobiecego" rozkochałyby się śmiertelnie chociaż na godzinę w tym bladym, rasowym Maurze o przepięknym, orlim profilu, palących, szatańsko niebezpiecznych oczach i nieco zblazowanym uśmiechu zawodowego, a już przesyconego pożeracza serc.

Nie wiem także, kiedy upoważniona wraz z mym towarzyszem do złożenia wizyty panu młodemu, zdjęłam pantofle, minęłam rzęsiście oświetloną kaplicę z sarkofagiem i w przyległej komnacie omal że nie zemdlałam na widok oblubieńca.

Bo choć wypadałoby miłym Czytelnikom obojga płci oszczędzić przykrego rozczarowania, ale moje głupie, „przedwojenne" sumienie nakazuje mi wyznać, że z pokrytych mocno wydeptanemi dywanami materaców, zaścielających całą podłogę, podniósł się na nasze powitanie nie olśniewającej piękności młody Arab, czy Maur o płomiennych oczach i drapieżnem obliczu szalejącego z miłosnej tęsknoty kochanka.

Niestety. Zażywny, trzydziestokilkoletni brodacz, śmiertelnie znużony oczekiwaniem na rozkosze nocy poślubnej, przyjął nas błogosławieństwem Allacha i... czkawką. Czknęło mu się, biedakowi, z głodu, a do uczty poślubnej, do północy, było jeszcze daleko.

Polecając go w zwykłej formule grzeczności łasce Allacha, pomyślałam z żalem i ze złością, że to ten dobrze odżywiony jegomość z szerokim torsem i zbyt krótkiemi nogami i z twardem, upartem spojrzeniem berberskiego kondotjera raczej niż arabskiego wielkiego pana, wejdzie do sanktuarjum miłości. Że to na niego za białemi kotarami, w biało srebrnej szacie oblubienicy, w blasku diamentów, pereł, cekinów i złotych paljetek ślubnego welonu, w dławiącej woni indyjskich olejków czeka trwożnie blada, jakby uśpiona księżniczka. — —

Czeka na niego... Brrr! Zrobiło mi się słabo. Pożegnałam się śpiesznie ze świętym szeryfem i dostojnikami i rzuciłam ostatnie spojrzenie na straszliwą bachanalję spienionych, nieprzytomnych z ekstazy Murzynów. Ogłuszona djaboliczną orkiestrą piszczałek, bębnów i tam-tamów, wróciłam wraz z mym towarzyszem do domu, rozżalona na brodacza, że nie jest ani trochę podobny do Valentina, i na świętego szeryfa, że wydaje młodziutką córkę za tak mało powabnego jegomościa. I patrząc z balkonu na różową w łunie płonących pochodni kaplicę maurytańską i na ciemną oazę palm na tle srebrnej i seledynowej nocy, westchnęłam żałośnie:

— Ach, dlaczegoż nie jestem w tej chwili Piotrem Loti, który napisał tak fascynującą książkę o Marokku, albo autorem wspaniałej wizji „Marrakech sous les palmes", Chevrillon'em, albo Izabellą Eberhardt, która znienawidziła Europę i jej chorą, zabijającą nagie, dzikie piękno natury cywilizację, przyjęła wiarę Mahometa, ukochała czerwoną i złotą Saharę, przebrana za młodego uczonego arabskiego, żyła latami pod namiotami nomadów, na grzbietach mułów i wielbłądów i zanim umarła przedwczesną i tragiczną śmiercią na tak namiętnie umiłowanej pustyni, zaklęła cały czar, całą magję swej po Marokku i Algierji włóczęgi w swych „Notes de route" i „Pages d'Islam", czy w tej pałającej przepychem barw i oślepiającej morderczym żarem afrykańskiego słońca książce: „Dans l'ombre chaude de l'Islam"?

— O, czemuż nie jestem Maurycym le Glay, który, jako oficer

francuski na czele krwawych ekspedycyj karnych w obliczu śmierci spisywał notatki i dał w nich tajemniczy i posępny obraz Marokka o czerwonych jak krew skałach otulonych zimnym kobaltem gniewnego Atlantyku? Dlaczegoż moje nędzne, słabe pióro nie potrafi nigdy zamknąć w słowach potworności tej djabolicznej bachanalji Murzynów, tańczących w blasku płonących pochodni, albo niewysłowionego uroku młodziutkiej oblubienicy w białej, wonnej alkowie, czy cudownej piękności tej nocy ociekającej brylantami gwiazd?

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Przygnębiona uczuciem własnej nicości, wróciłam do pokoju i nagle dostrzegłam na biurku wieczorną pocztę. Z radością otworzyłam paczkę książek, które wiernie posyła dla Polaków z Legji Cudzoziemskiej panna Lidja N. z Warszawy i oto — o zdumiewający zbiegu okoliczności! — Z tomu „Tarzana" wypadł wycinek z jednego z najpoważniejszych dzienników warszawskich z recenzją o mojej biednej, skromnej i zgoła niejadowitej „Kobrze".

Spojrzałam na tomik leżący na biurku. Mimo swej szkarłatnej szaty, spłonął rumieńcem wzruszenia, że oto zaledwie w kilka tygodni po jego ukazaniu się spotkał go tak niesłychany zaszczyt, jak recenzja w jednem z najpierwszych stołecznych pism...

— Nie ciesz się, Kobro — ostrzegłam ją rozsądnie. — Ten pośpiech jest podejrzany. To musi być na pewno egzekucja. Egzekucja i rzeź niewiniątek.

I czytając recenzję, podpisaną tylko dwoma inicjałami Z. R., krzyknęłam nagle ze szczęścia. Stukilogramowy głaz spadł mi z serca. Życie wydało mi się wesołą i zabawną awanturą, jak po dziesięciu szklaneczkach arabskiej herbaty z mięty. I z ekstazą czytałam zarzuty pani, czy pana Z. R., skierowane pod adresem mojej skromnej książeczki:

„*Autorka ma tak wybujały zmysł romantyczny i tyle ognistych barw na swej palecie, iż trudno jej opanować swoją fantazję i kosztem prostoty i naturalności daje przeszarżowany opis cudów i okropności tropikalnej ziemi.*"

— Boże, czy ja biedna *women of no importance* zasłużyłam aż na takie komplementy, jak „wybujały zmysł romantyczny", „fantazja", której nie mogę, nieszczęsna, „opanować" i „ogniste barwy na mej palecie"? Tej samej „palecie", którą właśnie przed chwilą podejrzewałam o skandaliczne wprost ubóstwo, wobec „cudów i okropności" tej tropikalnej* ziemi, do jakiej bez ceremonji od tylu lat zapędził mnie los?

Radośnie wzburzona, zapaliłam papierosa, którego nie lubiący widocznie „prostoty i naturalności" fabrykant nazwał poetycznie „Lalla Beya" i czytałam dalej ten niezasłużony panegiryk:

„*Trochę umiaru w s ylu zahaftowanym, jak egzotyczne makaty wszystkiemi kolorami Wschodu*"...

— Heleno, nie zemdlej z nadmiaru szczęścia — uszczypnęłam się z całej siły w ramię.

...„*nieco powściągliwości w metaforach i porównaniach, które nie powinny przecież we wszystkich okolicznościach życia* (życie w Afryce jest jednak „nieco" odmienne od życia w Warszawie... przypisek autorki) *przypominać wersetów jakiegoś bogatego dywanu perskiego wieszcza.* (Nie wiedziałam, że perscy wieszczowie, jak Ruddeki, Ferdussi, wielki mistyk, Omar, Kheyyam, Saadi czy Hafiz, byli jednocześnie fabrykantami dywanów, które przyozdabiali „wersetami" ze swoich poematów. Natomiast wiem, że najpiękniejsze dywany perskie z XVI stulecia, zwane „waze", mają za motyw ornamentacyjny wazę, z której tryska bukiet kwiatów, po innych zaś przechadzają się jak żywe pawie, inne mają motywy geometryczne, a te późniejsze — sceny myśliwskie i zwierzęta. — Przypisek autorki.)

Zaiste, nie zasłużyłam na te pochwały i czułam się głęboko zawstydzona zaszczytem, który przypadł w udziale mojej biednej, poczciwej „Kobrze". I sądzę, że p. Bernard Połoniecki, bohaterski i nieustraszony wydawca, drukujący w tak katastrofalnych czasach ten skromny tomik, powinienby wystosować do pani, czy pana Z. R. uroczyste pismo dziękczynne za tak życzliwą dla owego tomiku reklamę.

Wróciłam znów na balkon i przy *świetle księżyca* (który tu, w Afryce także lubi „szarżować" i z powodzeniem zastępuje łukowe lampy) czytałam w skupieniu recenzję:

„...*Niestety, za dużo w tych nowelach srebra i seledynu afrykańskich nocy...*"

Spojrzałam uważnie na „afrykańską noc". Była *srebrna i seledynowa.* Przetarłam oczy i na wszelki wypadek zapytałam mego towarzysza, wpatrzonego w bambulę oszalałych Negrów, w grę szkarłatnych świateł płonących pochodni na ich białych burnusach i hebanowych, zakrzepłych w ekstazie twarzach.

— Geraldzie, czy ta noc jest srebrna, czy też tak się tylko wydaje mojej „palecie"?

— Tak. Ta noc jest srebrna — zabrzmiała po chwilowem milczeniu rzeczowa odpowiedź.

— I seledynowa?

— I seledynowa. *Il n'y a rien à faire.* Nic na to nie możemy poradzić. Ta noc jest srebrna i seledynowa.

* Ani Marokko, ani Algierja nie są krajami tropikalnemi. Tropik Raka przechodzi przez Villa Cisneros w Rio de Oro, na południe od Hoggaru na Saharze, czyli przeszło o 1500 kilometrów od tła akcji egzotycznych nowel z tomika „Kobra".

Fakt ten potwierdzą zresztą wyżej wymienieni autorowie, przy których czuję się mizernym, malutkim robaczkiem.

Następnie zamyśliłam się głęboko nad zarzutem przeszarżowania opisów cudów i okropności ziemi afrykańskiej. Czy, aby nie „szarżować", mam twierdzić, że ci Negrzy, z pianą i ochrypłym na ustach wrzaskiem, tańczą melancholijnego walczyka na trzy *pas*, a nie swój dziki straszny taniec jednocześnie święty i wojenny? Że grają nie na barbarzyńskich, rozdzierających uszy piszczałkach, a na melodyjnych wiolonczelach? Że to nie tam-tamy czarnych ludów Sahary i Sudanu znaczą głuchym łoskotem obłąkany rytm tej satanicznej sarabandy, a poczciwe dziecinne bębenki z sklepu z zabawkami z ulicy Marszałkowskiej? Że w owej ślubnej komnacie nie widziałam czarodziejskiej zjawy w bieli, złocie i brylantach, a brudną „cywilizowaną" Arabkę w europejskim swetrze i spódnicy *tailleur?* Że nie piłam w przedsionku rzęsiście iluminowanej kaplicy maurytańskiej rozkosznie odurzającej herbaty z mięty, tylko „pół czarnej", jaką sobie szczęśliwiec w Warszawie, cicho i wygodnie na własnych śmieciach siedzący, zamówi u Lourse'a, czy w Ziemiańskiej?



Helena Filochowska

I czyż mam skłamać, że wspaniały Sidi Achmed uld Sidi el Hosni, święty, szeryf, znakomity potomek samego Mahometa, jest podobny do cadyka z Baligrodu, a nie do Harun-el-Raszyda?

Czyż tak bardzo „przeszarżowałam" opis „okropności" afrykańskich, twierdząc, że Sidi Mohammed ben Ali z noweli „Ręka Fatmy" uciął swej „gołąbce" rękę? Uciął jej na pewno obyczajem Arabów głowę, ale jakgdyby przeczuwając odrazę pani, czy pana Z. R. do rozlewu krwi, pozwoliłam mu wspaniałomyślnie uciąć żonie tylko rękę. Gdyby był Berberem z Atlasu, urżnąłby biedaczce bez namysłu a z ogromną za to „prostotą i naturalnością" — nos*, a później dopiero głowę, i pani czy pan Z. R. nic nie mógłby na to poradzić. Moja wstrzemięźliwość, zapoznana przez panią czy pana Z. R., została parę miesięcy temu ukarana, gdy przypadkowo tu, w „cywilizowanej" od stu lat Algierji zobaczyłam uciętą głowę Murzynki lekkich obyczajów i jej amanta od serca, o czem zresztą pisały miejscowe dzienniki. Tak, ci Arabi istotnie „szarżują" i do nich należy mieć pretensję, a nie do Bogu ducha winnej obserwatorki ich obyczajów.

Z dreszczem zgrozy myślę, co powiedziałaby (łby) pani Z. R. czy pan Z. R., gdybym jedną ze swych nowel osnuła na tle zamordowania przez ordynansa-Araba żony oficera francuskiego, co zdarza się w kolonjach od czasu do czasu, a ostatnio miało miejsce w Casablanca. — Albo gdybym odmalowała realistycznie tę straszliwą, z piekielnych, afrykańskich upałów rodzącą się cho-

* Odinot: Le monde marocain.

robę, zwaną *soudanite aigue,* okrutną formę szaleństwa, którą przypłacili życiem dwaj świetni oficerowie francuskiej armji kolonjalnej, kapitan Voulet i jego kolega Chanoine, lub dżumę, która wślizguje się tu niekiedy do dzielnic europejskich „cicho, na paluszkach" i o której nie wolno wspomnieć prasie, by nie siać paniki? Albo gdybym opracowała jako temat literacki jedną tylko z tysiąca znanych mi krwawych i ponurych tajemnic, jedną z tysiąca bolesnych tragedyj, którym jest na imię: Legja Cudzoziemska?

Nie wiem także, jakich gromów użyłaby (łby) pani Z. R., czy pan Z. R. na niżej podpisaną, gdyby tak niżej podpisana znalazła w swej podobno tak „bogatej w ogniste barwy palecie" taką fanfarę oślepiających wprost kolorów, iżby ośmieliła się opisać wiernie piękny, jak bajka Szeherezady, olśniewający, jak poemat Zubaidy wjazd młodego Sułtana, Sidi Mohammeda do Fezu, na który patrzyła własnemi, szeroko rozwartemi z zachwytu oczami? Lub gdyby czuła się na siłach zakląć w słowa wyśniony cud najpiękniejszej z oaz Sahary — Figuig i oszałamiający, niezapomniany czar czerwono-złotej pustyni, na której stała z „rozdziawionemi" ustami, napół martwa z piekielnego upału i oniemiała z podziwu?

Ale niestety. Na takie tematy mógłby się odważyć czarodziej słowa, Piotr Loti, Chevrillon, le Glay, czy ta natchniona i tragiczna wieszczka Sahary, Izabella Eberhardt, która pod białym sarkofagiem arabskim śni w piaskach pustyni o rozkoszach rajskich ogrodów Genen- et Naim.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Od wielu lat mej afrykańskiej tułaczki nie czytuję prasy warszawskiej i nie wiem, czy p. Z. R. jest kobietą, czy mężczyzną. Mam jednak wrażenie, że to kobieta. „Mężczyzna jest lwem" — jak to słusznie mówi Koran. Mężczyzna, jako twór znacznie od kobiety odważniejszy, bądź co bądź zdobyłby się na szczyt bohaterstwa i przeczytałby „Kobrę" uważniej. A przeczytawszy, nie popełniłby takiej nieścisłości, jak zarzucenie nieszczęsnej autorce *zbyt wielu zaczajonych żądz w oczach fatalnych kobiet...*

Ani jedna bowiem z kobiecych postaci z cyklu owych nowel nie ma w oczach „zaczajonych żądz". I to z tego bardzo prostego powodu, że autorka „Kobry" ma zaszczyt należeć do tej niemal że przedpotopowej generacji, w której „zaczajone żądze" nosili w spojrzeniu wyłącznie „panowie stworzenia", a damy zaś wstydliwie, lub łaskawie pozwalały się pożądać! Dobre to były czasy!

Inny zarzut p. Z. R., że *nowele na pewno zyskałyby na prawdzie psychologicznej, gdyby największe ludzkie dramaty nie rozgrywały się tu przy akompanjamencie Sonaty księżycowej Beethovena, Ballady Chopina, Nocy Rubinsteina, albo pieśni Szuberta,* świadczyłby raczej dodatnio o bohaterach „Kobry" i ich kulturze muzycznej. Lubili, biedacy, muzykę. A Oskar Wilde twierdzi, że muzyka jest najdoskonalszym typem sztuki...

Zarzut ten umacnia mnie niejako w przekonaniu, że p. Z. R. jest kobietą. Wiadomo bowiem, że bardzo wiele kobiet nie lubi i nie rozumie t. zw. „głębokiej muzyki". Dowód: świat nie posiada dotąd ani jednego żeńskiego Szopena, czy Beethovena. — I jeszcze jedno wytłumaczenie i podkreślenie: Autorka „Kobry" jest niemal że muzealnym zabytkiem z tych zamierzchłych, dziś do legendy podobnych czasów, gdy ludzie bledli z zachwytu wobec posępnego piękna Sonaty księżycowej, a uciekliby ze wstrętem i zgrozą, gdzie pieprz rośnie, przed rykiem, wrzaskiem, piskiem, rzężeniem i miauczeniem jazz-bandu. Kochali, tęsknili, marzyli, cierpieli, żenili się i rozwodzili przy „akompanjamencie" Szopena i Beethovena tak, jak współczesne pokolenie kocha, tęskni, cierpi, marzy, żeni się i rozwodzi przy ogłuszających dźwiękach „szlagierów" Padilli, czy Youmansa, Golda, czy Petersburskiego, lub, w najgorszym wypadku — przy ryku kupionego na raty gramofonu.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Na zarzut „przeszarżowania opisów cudów i okropności tropikalnej ziemi" autorka „Kobry" — gdyby Stwórca dał jej więcej tupetu, — zapytałaby nieśmiało panią, czy pana Z. R., *jak długo przebywał sam w Marokku i Algierji,* iż czuje się upoważniony do stawiania podobnych zarzutów?

Autor „Portretu Doriana Grey'a" twierdzi, że krytyka wymaga więcej kultury, niż twórczość. A ja skromnie dodaję: I dokładnej znajomości tematu, który poddaje się krytyce.

Stary, mądry Descartes mówi: „Dobrze jest wiedzieć coś o obyczajach rozmaitych ludów, abyśmy nie myśleli, że wszystko, co jest przeciw naszym modłom, jest śmieszne i przeciw rozumowi, jak to mają zwyczaj mniemać ci, którzy nic nie widzieli".

Ale będąc z natury istotą cichą i pokornego serca, nie zadam p. Z. R. podobnie kłopotliwego pytania. Ograniczę się do pełnego skruchy wyznania, że nie rozumiem dlaczego zdaniem p. Z. R. „zbiór tych opowiadań pod względem artystycznym wypadłby o wiele szlachetniej i ciekawiej, gdyby styl ich nie przypominał egzotycznych makat, zahaftowanych wszystkiemi kolorami Wschodu" (I znów, mimo silnej anemji, rumienię się ze szczęścia... Przyp. autorki.)

Czyż należało je pisać stylem szkolnych wypracowań dziesięcioletniej Helenki na temat: „Jak spędziłam u babci tegoroczne wakacje?" Czy suchym, urzędowym językiem oficjalnych komunikatów z rubryki: „Najwyższe ceny targowe w dniu dzisiejszym"?

W rezultacie z recenzji p. Z. R. wyłania się jedno niewymownie radosne dla autora i bohaterskiego wydawcy „Kobry" podejrzenie. Podejrzenie, że „Kobra" nie jest książką... nudną.

A przecież trudno mi w to uwierzyć, gdyż wówczas, jak mówi Villon — „dla takiego ubogiego chudziaka, jak ja" — życie byłoby naprawdę zbyt piękne. —

Oran, Algierja, w listopadzie 1931 r. HELENA FILOCHOWSKA

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego Lwów-Warszawa ukazały się dwa piękne i cenne wydawnictwa gwiazdkowe. WANDA MŁODNICKA: Koszałki opałki z babcinej kobiałki — są zbiorem uroczych bajek, które autorka wybrała i ułożyła z wielkiem znawstwem duszy dziecięcej. Zaleca je dyskretny humor i zgrabnie ukryty morał, a wysoką wartość książki godnie uzupełniają poprostu świetne ilustracje Janiny Kilian-Stanisławskiej.

WANDA MŁODNICKA: Historja dziadka do orzechów. — Fantastyczna opowieść Aleksandra Dumasa w układzie autorki rozbłysnęła wszystkiemi zaletami pióra Dumasa, a 138 drzeworytów P. Bertalla doskonale ilustruje treść tej niezmiernie ciekawej książki. — Obie książki, mimo lekkiej formy, mają tak wysoką wartość, że stanowić będą prawdziwą ozdobę biblioteki dla młodzieży.

KORNEL MAKUSZYŃSKI: Ze środy na piątek. — Wyd. Gebethner i Wolff. — Najnowszy zbiór nowel Makuszyńskiego jest tak przedziwnie skonstruowany, że w miejscach, w których autor chce rozśmieszyć, czytelnikowi zbiera się na płacz a w ustępach pokropionych wymuszoną łezką sentymentu, chce mu się śmiać. Natomiast ktoś, kto ma dobrą pamięć, powie kiwając melancholijnie głową: jak ten Makuszyński naśladuje — Makuszyńskiego! Nie można się dziwić. Współczesność nasza obfituje raczej w momenty tragiczne jak komiczne. Niemniej humorysta, któryby chciał ostrem cięciem dowcipu przekroić tę chropawą całość i ukazać jej skarykaturowane wnętrze, musiałby mieć inny punkt widzenia, jak Makuszyński. Punkt bardzo bliski życia, być może tkwiący w środku zagadnień społecznych, ekonomicznych a nie ślizgający się gładkim frazesem po powierzchni. J. O.

T. BRUDZEWSKI: Cyklon. — Nie wiem jakie jest założenie wydawnictwa „Książek liljowych" Gebethnera i Wolffa. Przypuszczam, że chodzi o tanią a dobrą książkę lżejszej treści. W takim razie można zapytać, przez jaką omyłkę dostała się do tego wydawnictwa poważnej firmy, słabiuchna ramota p. Brudzewskiego. J. O.

JERZY BRZĘCZKOWSKI: Wraki. — Gebethner i Wolff, 1931. — Wraki — „takie okręty, wycofane z obiegu. Może znajdować się na dnie, jeśli go spotkała awarja, lub płynąć z prądem, o ile go się samopas puściło". I Derecki i Maryna to właśnie tacy ludzie wykolejeni, wraki rewolucji rosyjskiej. Dziwna i przypadkowa ich miłość na polskiej plaży przynosi nierzadko epizody, świadczące o ciekawym stylu i talencie autora.

KAZIMIERZ WYBRANOWSKI: Dziedzictwo. — Księgarnia św. Wojciecha, 1931. — Tematem owego sui generis kryminalnego romansu jest walka Zbigniewa Twardowskiego, spadkobiercy bogatego stryja z Henrykiem Culmerem, reprezentującym w Polsce „Związek uczynnych grabarzy", przypominający organizacją międzynarodową masonerję. Związek ów, kierowany przez żydów, wciąga w swoje szeregi co wybitniejsze jednostki, torując im drogi ku sławie, w razie zaś „niebłagonadiożności" niszcząc potwornym szantażem a nawet mordem. W walce tej, niepozbawionej oczywiście wątków erotycznych, zwycięża Twardowski. Owa tak nieprawdopodobna historja, że czasem... gotowiśmy jej nawet uwierzyć, jest przytem, mimo 380 stronicowych rozmiarów, napisana wcale interesująco.

ERNEST ZAHN: Miłość Seweryna Imbodena, przekł. M. Kreczowskiej. — Renaissance, 1931. — Czem jest miłość Seweryna Imbodena? „Rozstrzępiona przez życie, pogmatwana jak kłębek. Gdy ją uczułeś po raz pierwszy, była szałem. Zbeszcześciłeś ją! Później kazała ci się wahać między dwiema kobietami, a ponieważ nie zdołałeś poznać siebie samego, śmierć złamała ci jedną i drugą". Nie dozna już potem Seweryn Imboden, wychowany nierozumnie, wyczekiwanej doostatka, prawdziwej miłości — choć może zabita przez kochającą i kochaną matkę — o jakże boleśnie — była już niedaleko, — aż wreszcie oczyszczający pożar, żywa, trawiąca, przemożna potęga, zwycięska, jedna jedyna, uderzająca jak grom nad głowami — ukaże mu oczyma śmierci istotę miłości, która wszystko zwycięża, która się nigdy nie łamie.

Świetna, głęboka, tak bardzo ludzka powieść szwajcarskiego pisarza jest wielkim hymnem miłości, tak bliska skądinąd powieści skandynawskiej, nad którą, podobnie jak nad tworem Zahna, unosi się surowy majestat gór, będących jej zarazem i kolebką. Przekład Marji Kreczowskiej naogół poprawny.

WŁ. L.

„MIASTO"

PRZYGRYWKA DO POWIEŚCI SCENICZNEJ

Wkopały się w ziemię równo, głęboko ściany domów twarde, gniotące. Odrzuciły precz, daleko wodę wnętrzną, precz ku polom zielonym, a wsysają w siebie polipem rur żelaznych wodę wierzchnią stawów i rzek, ciągnąc ją wysoko do dziesiątych pięter, wodę niewolną, żeby nieczystości wszelakie brała w siebie i niosła do rzeki zpowrotem — zatrute. Rzeka je bierze gniewna i ściera nanice, na niebyłe — że nie upłynie pół mili a już jej nurty czyste jak wprzódy, póki o nowe miasto nie zawadzi — szumiąca. — Tymczasem kanałami wciąż przewalają się brudy mętne, złe, powolne, spokojne.

Jeżeli się zatrzymają gdzie kiedy na chwilę, wnet zbiegają się w takie miejsce widma czarne: ludzie nędzne, wyklętki... Kamiennemi ścieżkami wzdłuż mętów cuchnących pędzą w półmroku latarek, długiemi drągami uderzają w kłębowiny leniwe i pchają naprzód — milczący. — A pod ich nogami, tupotem obrzydłym przemykają się tysiącami gromady szczurów szarych w pośpiechu i pisku upiornym.

— — — — — — — — — — — — —

Wieczorem ludzie one wyklęte wyjdą z labiryntów podziemnych i pójdą wyżej, do piwnic domów spać — ciężko.

Górą dziesięć pięter ciśnie, ciśnie, dziesięć pięter stoi na piersiach i dusi. Komuś żebra nie wytrzymały, trzasły i zapadły się jak przęsła podcięte. Komuś żyły nie wydoliły naporowi, pękły a krew buchnęła i rozlała się naokoło. Dziesięć pięter ciśnie, ciśnie. Coraz pewniejszych w swej trwałości i mocy, bo oto fundament podpierany ludzką kością, cementowany skrzepłą krwią.

Rano reszta się zbudzi i znowu zbiegnie w dół, gdzie wczoraj, z ochotą, bo tam tylko ciśnie bruk, powietrza więcej i można biec przed siebie daleko. — Aż tam, gdzie kanał uchodzi do rzeki.

Wykopane jamy stemplować trzeba dębowym pniem, żeby się nie zawaliło wszystko. Przecież czasem coś się osunie, ziemia drgnie, zadźwięczą szyby Miasta a Matka Boska nad łóżeczkiem dziecinnem spadnie z gwoździa na kołderkę niebieską.

Dziecko się wtedy budzi i płacze...

— — — — — — — — — — — — —

Ponad kanały cuchnące, ponad trud i brud, przekleństwa i groźby onych karłów ludzkich wgryzionych w kamień czarny, nienawistny, ponad one kości nędznych łamane ciężarem murów wielopiętrnych, nad płuca żarte wilgocią na sita wznosi się Bazylika święta, Akropolis strzelista Boga Jedynego. Zrywa się ku niemu tysiącznem skrzydłem marmurowego anielstwa, na siedmiobarwnej lutni witrażów słońce gra hymn wyzwolenia ze wszystkiego, co gnije w zaduchu rozkładu, wnętrzem jej murów przepływa tajemna krew organowej modlitwy dziękczynnej a wyciągnięte wysoko ręce wież rozdzwonionych podnoszą ku błękitom Hostję najbielszą, Chleb duchowego żywota, widomy Bunt przeciwko Gwałtowi, co światy rzuca na światy i obraca kręgami w krąg, co szare orły miota na gołębice trwożliwe a śmigłe... Patrzą z węglowych kawern podziemnych, patrzą skróś stemplowane sklepienia, patrzą w Bazylikę rzesze mnogie zgarbionych karłów kujących, zbrojnych w niechybny kilof i oczy niby skry biegnące po lontach — niespokojne...

Dla nich ta Bazylika nie leci ku niebu a ciśnie, ciśnie jeszcze boleśniej niż fundamenty Giełd i pałace bogaczów, bo nie widzą w Niej tego, co tam jest mimo wszystko, mimo złotem tkane szaty pontyfów, mimo ludzką nieprawdę ich kazań i praktyk: a więc onego wiecznego Buntu, duchowego Veta rzuconego ciążeniu światów i orłom drapieżnym, — a patrzą na Nią jako na sztukę zbytkownej materji, co okrywa wstydliwie pożądliwe ramiona kurtyzany.

Patrzą jak na Walhallę, że to ją wznieśli — mówią — olbrzymy złe Bogu dla spodziewanej zapłaty. A kiedy ich zapłata minęła, bo Bóg podejść się nie dał, wszechwiedzący, wówczas w Grodzie święconym zamieszkali sami, sami się za bogów podając.

To też im i temu ich Kościelcowi przysięgają zemstę największą. — Nibelungi. —

Pałace bogaczy dla ich żon i córek, ale z Bazyliki — grożą — nie zostanie dwu kamieni razem, żeby nie było na ziemi nijakiego kłamstwa — — tak mówią.

Patrzą oczy tysiączne krecie poprzez stemplowane sklepienia, skróś bruki i trawniki parków. Ogrodami przechadzają się przystojni mężczyźni i kobiety prześliczne. Przechadzają się i mówią o — miłości.

Że jest różą białą pieniącą się na drżących falach praSmętku i odwiecznego Śmiechu.

Że jest różą czerwoną, wykwitłą z krzewu płonącego, w którym objawia się Bóg.

I że jest jeno dla dusz śmigłych jak raca świecąca, wypuszczona w głębiny nieba wieczornego.

— — — — — — — — — — — — —

Przechadzają się i mówią o dziewiczej Artemidzie, która włoskim marmurem wybiegła z otocza brzóz powłóczystych i zatrzymała się wolą sztukmistrza na cokole kamiennym, nieco podana wprzód muzyką piersi zadyszanych, jędrnych. W tych piersiach mistrz zaklął — podobno — duszę świata.

— — — — — — — — — — — — —

Pomiędzy parami kręcą się dziewczyny z koszami pełnemi pomarańcz. Słońce przygrzewa a pomarańcza jest soczysta. Jedna pani idzie sama, smukła jak gladjola, wpatrzona daleko przed siebie z dziwnym uśmiechem na ustach wpół otwartych. Koło niej biegnie duży, długowłosy, jedwabisty, biały chart. Czasem do pani się tuli, o suknię ociera, w najmiększych przegubach wiotkiego ciała. W pewnej chwili na tylnych nogach się wzniósł, długą, wąską głowę do piersi pani przycisnął. Ona go odsunęła ruchem pieściwym — ciągle w tym dziwnym uśmiechu — a potem kupiła od dziewczynki pomarańczę i dała zwierzęciu do pyska. Chart ujął w czyściutkie zęby ów balonik czerwono-złoty, soczysty i niósł dumnie, jakby kulę ziemską wziął w kły i dźwigał.

Nad kobietą i psem unosi się wysoko na niebie błękitnem srebrzysty, nieruchomy prawie samolot. —

Pani się ciągle uśmiecha.

— — — — — — — — — — — — —

Patrzą z podziemnych kawern węglowych, poprzez stemplowane sklepienia, skróś miękki piasek ogrodowych alei, patrzą na prześliczne pary oczy tysiączne, krecie i nie widzą jak się w tych, co chodzą miłośnie, dusza rwie ku siedmiu kręgom niebieskim — a ino tego białego psa, pieszczonego, z soczystym balonikiem czerwonym.

Biały, jedwabisty pies staje się dla tych kretów brudnych o ustach spieczonych symbolem drażniącym całego górnego świata. Nad psem nie będą mieli litości, gdy wyjdą wreszcie na powietrze, na wiatr, na jasność. Nie będą mieli litości dla psa.

— — — — — — — — — — — — —

Patrzą się zdołu oczy i patrzą; całe Miasto podminowane temi oczami, co się skrzą jak ogniki i biegną sycząc po loncie...

Na przedmieściach zagrały syreny fabryk przeciągle, głupio...

KAZIMIERZ BROŃCZYK

bohaterstwo kobiety

Bohaterstwo — to jest rzecz względna. Nurek zapuszczający się na dno oceanu budzi w nas podziw. Ryba robi to samo bez skafandra i nikt jej nie bije oklasków. Gandhi chodzi po Londynie w prześcieradle i jest z tego powodu bohaterem dnia. Gdybym ja to zrobił, powiedzianoby: idjota. Bernard Shaw zachwyca się piatiletką i Sowietami, — nazywa się to odwagą i niezależnością myśli. Jeżeli to samo robi zwykły komunista, daje mu się utrzymanie na koszt państwa w więzieniu. Lotnik puszcza w czasie wojny bombę na miasto, burzy katedrę, arcydzieło sztuki, zabija przytem 11 starców, 22 kobiety i 33 dzieci, — dekorują go za to krzyżem, symbolem miłości. Pewien mój przyjaciel wskutek degeneracji psychofizycznej zamordował kilkadziesiąt kobiet, — nazwano go upiorem z Dusseldorfu i skazano na śmierć. Kiepura śpiewa w Filharmonji, — tłum ryczy z zachwytu. Gdybym ja to uczynił, obdarzonoby mnie rzęsistemi oklaskami po twarzy, nałożono kaganiec i wyrzucono za drzwi.

Wogóle: względność, względność i względność!

Przykłady możnaby mnożyć, ale mnożenie też jest rzeczą względną. Boy np. mówi: nie mnóżmy się zbytnio, bo będziemy słabi i głodni, a senator Thulie, rozmnożony sześciokrotnie, wzywa kobiety do wzmożonej produkcji dzieci, które mają dać narodowi siłę i ucieszyć spoczywającego w grobie Focha.

Monopol państwowy twierdzi, że „czysta wyborowa jest świetna i zdrowa", a nauczyciele państwowi opowiadają młodzieży o szkodliwości alkoholu. Mało tego, — Monopol Spirytusowy, starając się usilnie o tępienie abstynencji, daje równocześnie corocznie pewną subwencję na walkę z alkoholizmem. Gdyby tak jaki poczciwy obywatel, naśladując metody monopolu, odebrał życie kilkunastu ludziom, a potem dla odczepnego zrobił dwoje dzieci, — nazwanoby to świństwem i zbrodnią. Bo moralność jest rzeczą względną. Co wolno wojewodzie... Kostkowi, to nie...

* * *



Bardzo przepraszam. Dałem się unieść kojarzeniu rozmaitych sprzeczności logicznych i właściwie odbiegłem od tematu. Zapomniałem, o co mi chodzi. Aha! Chciałem mówić o bohaterstwie kobiet, którego się nie docenia. O bohaterstwie kwestarek, zbierających datki na cele dobroczynne. Tak. Potwierdzam. To jest bohaterstwo. Panowie mężczyźni! Wasze nadstawianie piersi, których zresztą nie macie, na kule wroga jest niczem w porównaniu z odwagą kwestarki, wchodzącej do sklepu po datek na loterję fantową. Jeżeli nie wierzycie, spróbujcie raz w życiu.

A może wystarczy wam moje doświadczenie?

* * *

A było to tak. Komitet Kobiet Kojących Cierpienia zaprosił mnie na posiedzenie. Pośpieszyłem z ochotą. Cierpię na głód miłosny i chciałem być ukojony. Rzeczywiście mówiło się o dzieciach, ale o tych, które już są, że należy im pomóc. Świetna myśl! Łzy stanęły mi w oczach. Rozczuliłem się z powodu obrazu nędzy, jaki mi roztoczyły przed temiż załzawionemi oczami panie z Komitetu. Zabrałem głos i w długiem przemówieniu przyznałem im rację. Na pytanie, czy skłonny jestem wziąć udział w akcji pomocy, powiedziałem, że jeżeli udziały są niedrogie, mogę nawet wziąć kilka. Wyjaśniono mi, że chodzi nie o pieniądze, lecz o czynny udział w pracy Komitetu. Dzięki wrodzonej bystrości umysłu zrozumiałem powyższe wyjaśnienie i zgodziłem się pomagać paniom w pracy. Niebaczny, nie wiedziałem, że popełniam samobójstwo. Uchwalono zbiórkę po sklepach na loterję fantową, a mnie mianowano kwestarzem. Wymawiałem się jak mogłem, ale właśnie nie bardzo mogłem, bo już przedtem przyrzekłem „wziąć udział". Wszystkie panie wyraziły nadzieję, że zbiorę najwięcej, że mnie nikt nie odmówi, bo nie odmawia się tak miłemu mężczyźnie (ach, ta moja przeklęta piękność!). Kazano mi jeszcze dobrać sobie na własną rękę kwestarkę, jako że we dwoje lepiej się pracuje społecznie, lepiej się rozumie cel i więcej się myśli o dziecku.

Wróciłem z ciężkiem sercem do domu. Noc spędziłem bezsennie. Myślałem o zbiórce. Zastanawiałem się nad tem, co wolno zbierać, a czego nie. Ustaliłem, że można brać wszelkie środki żywnościowe, zabawki, materjały odzieżowe, książki i t. d., oraz wszelkie naczynia, z wyjątkiem jednego. (Chociaż, — dla dzieci? Właściwie możnaby, ale nie wypada.) Dalej ustaliłem, że nie do wszystkich sklepów można wchodzić, taki już bowiem jest zwyczaj, że np. nie zbiera się na loterję fantową nawozów sztucznych i naturalnych, protez, pasów ortopedycznych, pieców kaflowych, broni i trumien. Zwyczaj ten jest słuszny tylko w odniesieniu do broni, — rzeczywiście, trzebaby być wściekłym ryzykantem, aby, będąc kwestarzem, wejść do składu z bronią i narazić się na niechybną śmierć, — pozatem jednak jest głupi, bo wyklucza z możliwości zbiórkowych artykuły bądź co bądź pierwszej potrzeby. Np. taka trumna prawie każdemu prędzej czy później się przyda. Może w razie potrzeby zastąpić łóżko. Słyszałem o chłopcu, terminatorze stolarskim, który u swego majstra do dwudziestego roku życia sypiał w trumnie. Chłopiec ten, zostawszy czeladnikiem, przeniósł się na łóżko. Siła przyzwyczajenia była jednak tak wielka, że po śmierci znowu wrócił do trumny.

Ale wracam do tematu. Otóż wszystko sobie dobrze obmyśliłem i nazajutrz przystąpiłem do pracy. Sam. Bez towarzyszki. Poco mam się dzielić z kimś triumfami?

* * *

Wchodzę do sklepu spożywczego i z właściwym sobie miłym uśmiechem zaczynam:

— Szanowna Pani! Jestem przedstawicielem Komitetu Kobiet Kojących Cierpienia. Proszę o datek na loterję fantową na rzecz ubogich dziatek. Mam nadzieję, że Pani, której dzieci...

— Żadne dzieci, — odparła jejmość za ladą. — Jestem dziewicą i niech pan mi z dzieciamy się wynosi.

— Ależ dobrodziejko, chodzi o drobną ofiarę.

— Pan sam jesteś ofiara.

— Przepraszam, jestem przedstawicielem...

— Robić to się takiemu nie chce, ino przedstawiciela udaje, żeby grosz wyłudzić.

— Ależ nie dla siebie, dobrodziejko, i nie grosz, a datek w naturze.

— A tą moją naturą to niech sobie gęby nie wyciera. Jestem panną z porządnego domu i nic w naturze. Niech idzie, bo jak co zginie, to na policję dam znać.

Wycofałem się oszołomiony. Otarłem pot. Ochłonąłem. Walę do księgarni. Z inteligentnym człowiekiem, — myślę sobie, — dojdę do porozumienia.

— Moje uszanowanie Panu! Jestem przedstawicielem i t. d. Mam nadzieję i t. d.

— Legitymację, upoważnienie do zbierania, pan ma?

— Tak jest. Proszę.

— Eh, panie, bez fotografji, to może być ukradziona. Chodzi o to, czy pan, to jest na pewno pan.

— Ależ tak, ja jestem ja.

— Na słowo dzisiaj się nie wierzy.

— Mogę okazać dowód osobisty z fotografją.

— No to czemu pan nie pokazuje.

— Proszę bardzo.

Księgarz zbadał uważnie pieczęcie, kilkakrotnie przerzucił spojrzenie z fotografji na mnie i zpowrotem, wreszcie oddał mi dowód i powiedział:

— Tak, to pan.

Odetchnąłem, bo sam już zaczynałem wątpić. Ośmielony faktem stwierdzenia identyczności ponowiłem prośbę o dar na loterję.

— Nic, panie, — odparł sucho księgarz, — kryzys.

— Jakto, nic?

— Kryzys.

Osłupiałem.

— Więc w jakim celu pan mnie legitymował?

— Z przyzwyczajenia, panie, — byłem kiedyś urzędnikiem policyjnym.

Jeżeli nie zabiłem tego łotra, to tylko dlatego, że jestem pacyfistą i że nie miałem przy sobie rewolweru. Wypadłem na ulicę i zacząłem biec do domu. Niech się dzieje co chce, nie będę zbierał. Było mi jednak głupio. Wiedziałem, że będę wyśmiany przez panie z Komitetu.

Nagle! Myśl! Mam! Zajrzałem do portfelu. Wystarczy.

Kupiłem w sklepie spożywczym 3 paczki cykorji, paczkę herbaty, pudełko szprotek i puszkę kakao — wszystko w najgorszym gatunku, w cukierni 2 paczki herbatników, 5 zeszłorocznych ciastek, 10 deka cukierków, 3 maleńkie tabliczki czekolady i 20 serc czekoladowych — wszystko w najgorszym gatunku, w sklepie galanteryjnym 2 pary pończoch, czapeczkę włóczkową, wypłowiały krawat i 3 kołnierzyki z epoki kamienia łupanego — wszystko oczywiście w najgorszym gatunku; w sklepie z zabawkami lalkę bez głowy, głowę bez lalki, tekturowego pajaca, tuzin papierowych żołnierzy, latawca, kółko i grzechotkę — wszystko, jak trzeba, w najgorszym gatunku; w droguerji 3 kawałki mydła, 7 świec, 4 tubki pasty do zębów „Cholerodont" i 5 pudełek pasty do obuwia „Smerdal" — wszystko również, jak należy, w najgorszym gatunku.

Po chwili cały ten stos złożyłem u stóp prezeski Komitetu Kobiet Kojących Cierpienia. Była zachwycona.

— Wspaniale! Odrazu mówiłam, że pan najwięcej zbierze.

Nietylko jednak ilość, ale i jakość darów budzi we mnie podziw.

— Gorszych już nie było, — powiedziałem na usprawiedliwienie.

— Ależ, panie, — obruszyła się prezeska. Zawsze dają gorsze na loterję fantową.

— Niemożliwe.

— Tak, tak. — Tylko swemu osobistemu wdziękowi i elokwencji zawdzięcza pan, a raczej my panu, tak wspaniały plon. No, wobec tego zawsze będziemy prosić pana o kwestowanie.

— Nie, pani, — odparłem. — Jest to ostatnia moja kwesta w życiu. Wolę wbijanie na pal, rozdzieranie końmi, łamanie kołem. Nie mogę. Kajam się. Biję przed wami czołem, kobiety, które



umiecie i chcecie pomagać w ten sposób bliźnim. To jest bohaterstwo nad moje siły.

* * *

Od tej pory nie brałem udziału w żadnej zbiórce. Oczywiście kocham bliźniego (zwłaszcza płci żeńskiej), ale wolę to okazać w inny sposób. Nauczony jednak doświadczeniem, — nigdy w życiu nie odmówię żadnej kwestarce. Rozmieniłem sobie u pewnej wdowy złotówkę na grosze i o każdej porze, na każdy cel, każdej



kwestarce dam ten grosz wdowi. Ale sam nigdy zbierać nie będę. Zresztą... Wyłącznie dla Was, kochane czytelniczki, zrobię wyjątek. Będę zbierał Wasze życzliwe, jak dotąd, listy — liście bobkowe do laurowego wieńca sławy.

JÓZEF CZYŚCIECKI

Ilustrował W. Waśkowski

PRZECHADZKI PO MIEŚCIE POZNANIU

P. Zofji Mizerskiej z wyrazami czci i wdzięczności.

Tak nazywa się książka jedna z osobliwszych, jakie znam. Jedna z tych, które nie umieją kokietować. Niepokaźna z pozoru i na pierwsze wejrzenie niczem się niezalecająca. W świat dawno i w skromnej szatce i bez imienia ojcowego puszczona. Ale wtajemniczeni wiedzą, co zacz ona i czyja. „Motty" — mówi się o niej krótko wśród badaczy przeszłości Wielkopolski, bo takie jest imię jej ojca: Marceli Motty. I podobna do niego, jak kropla wody. Cały w niej jest leciwy gawędziarz, syn poznańskiego profesora (Francuza z rodu) i sam profesor, cały — ze swojem umiarkowaniem poglądów, spokojem spojrzenia na świat i uczciwością sądu o ludziach. A znał ich sporo, jeśli o rodzinie kupieckiej, dobrze w księgarstwie zapisanej może powiedzieć: „Leitgeberów czwarte znam pokolenie, a może i piąte zobaczę..." (V, 183). Znał, ale i pamiętał doskonale. Pięć tomów „Przechadzek" (Poznań 1888—91) to jakieś aż niesamowite summarium jednej ludzkiej pamięci. Bezmała stulecie: setki ludzi, których słyszał — setki zdarzeń, na które patrzył własnemi oczami. Źródło historyczne bujnie bijące.

Wspominam je tu, bo dość zapomniane, a i dlatego także, że mam wobec niego dług wdzięczności. Nie tylko z tytułu je podkradłem, ale zawdzięczałem mu i spojrzenie na Poznań w moje ostatnie, zaduszkowe jego odwiedziny. Zaduszkowe: był wczesny listopad, nad którym stała pogoda z przejrzystości i kruchości podobna do kryształu. Jak Motty'emu i może dzięki niemu w biały dzień, wśród ulic, wśród kamienic ciągnął mi się niebieski tren wspomnienia, zwidywały się zjawy widmowe ludzi, wypadków i rzeczy minionych i obcowałem z widmami nieraz intymniej, niż z żywymi. Ale też głębiej, istotniej rozumiałem żywych. Bo w istocie oni: widma i my: żywi, to — jedno. My przez nich, z nich, oni przez nas, w nas żyją. Między światem żywych i umarłych niema przedziału. I niema właściwie — umarłych. I złudzeniem dziecinnem jest futurystyczna negacja przeszłości.

Motty tak wedle przedmieść, ulic, placów, domów, spisywał swoje wspomnienia z XIX w., stwarzając książkę-curiosum. Mnie się też niejedno na jego szlaku przypomniało. Bo główny cel mojej literackiej wycieczki stanowił Poznań dawny i dawni jego ludzie. Właściwie jeden człowiek — Ryszard Wincenty Berwiński. Nazwisko zatarte, jak na starej, cmentarnej tabliczce. Mało kto je odczyta, mało kto pamięta. I grób zadeptany. Pewnie bez śladu, bo aż — w Konstantynopolu. Tam dosięgła horyzontu ziemi przedziwnie fantastyczna parobola życia największego poety wielkopolskiego pierwszej połowy minionego stulecia (1819—1879). Tam dotlało samotnie życie bujne, burzliwe, ogniste i — bez miary tragiczne. Życie zmarnowane, życie sobie i ludziom zawiedzione. I jeszcze nadomiar zapomniane, wytarte z pamięci miasta i dzielnicy, której Berwiński był pierwszym świadomym regjonalistą, jednym z najciekawszych twórców i najosobliwszych tworów. Miał Poznań, osławiony potem z pozytywności, trzeźwości, z materjalizmu swój okres farysowy: raz był nietrzeźwy, zapalny, światoburczy (1830—50). I ten okres Berwiński streścił w sobie w sposób bodaj najbardziej reprezentatywny i krańcowy. Demokrata-ludowiec, konspirator 46 r., członek Komitetu Nar. w 48 r., poseł na sejm, poeta-bajronista, poeta-agitator demokratyczny, entuzjasta i badacz twórczości ludowej, dziennikarz — uchodzić potem musiał przed ciasnotą atmosfery, ale ujść nie zdołał zemsty wrogiej sobie epoki. Krzywda daremnego życia, bezpłodnych poświęceń, dopełniła się krzywdą zapomnienia. Od kilku lat prowadzona praca moja pragnie poecie skrzywdzonemu oddać zagrobową sprawiedliwość.

Z myślą o tej pracy odwiedziłem przebywającą w Poznaniu wnuczkę cioteczną poety — p. Zofję Mizerską. Znalazłem u niej (jak i u jej kuzyna inż. Bolesława Mizerskiego w Warszawie) głębokie zrozumienie, pomoc i życzliwość. Miałem nadto szczęśliwą sposobność poznać w niej duszę niezwykłą: szczerze poetycką i rdzennie romantyczną. To jedno z najciekawszych odkryć w Poznaniu. Znamienny, a niedostrzegany rys w jego fizjognomji duchowej. Środowisko krańcowo zmaterjalizowane, całkowicie obce bezinteresowności estetycznej wytwarza siłą kontrastu i z nakazu samoobrony — anachronistyczne, izolowane typy romantyków, typy samotników, wysubtelnionych i głęboko wrażliwych na piękno. Piękne poezje p. Z. Mizerskiej, ciążące często, a charakterystycznie do fantastyki baśniowej i poezje jej ojca dra Ludwika Mizerskiego (poznałem je w wyjątkach) — to dla studjum *milieu* dokumenty arcyciekawe. Bo pomyśleć: Ludwik Mizerski — świetny prawnik, syndyk kapitulny, wieloletni poseł na sejm berliński, (ostatnio prezes Koła pol. na tym sejmie), a gdzieś w kątku duszy i w kątku życia poeta: autor regjonalnych ballad, pełnych humoru dykteryjek i bezmiennie wydanej epopei „na tle stosunków wielkopolskich" p. t. „Lucjan Doręba" (Poznań 1901), tłumacz-poliglota (Anakreonta z grec., Longfellow'a z ang., Goethego, Schillera, Heinego i i. z niem.). Twórczość ogromna — prawie nieogłoszona i niesłusznie zapomniana.

Niezapomniane są dla mnie godziny spędzone w tym świecie niespodzianie odkrytym wśród mebli, z Borowa (kiedyś majątek dziada p. Mizerskiej), na które poeta patrzył żywemi oczyma, godziny rozmowy miłej i głębokiej pod wejrzeniem dwu portretów: Rysz. Berwińskiego i jego matki. Pierwszy, świetnej roboty, podp.: *Ph. Hoyoll 5/1884* (nienotowany dotąd i niereprodukowany) pochodzi z czasu, w którym najwyżej nasilił się romantyczny rewolucjonizm Berwińskiego, jego namiętna negacja kultury szlacheckiej, bluźniercze inwektywy przeciw tradycji — wszystko w imię szlachetnie wypiastowanego ideału wyzwolenia społecznego i narodowego. Taki jest na tym portrecie: gorzkie, cierpkie usta i z za czarno oprawnych okularów patrzące, głęboko melancholiczne, szaro-niebieskie oczy. Włosy do ramion, ciemne, konstrastujące z rudawym odcieniem zarostu twarzy. — Matka starowinka bezzębna, o bystrem, dobrotliwie surowem spojrzeniu, w czepeczku białym i krysce — matka inna, niż matka Słowackiego, ale nie mniej kochana. Z rozproszonej, zaginionej puścizny został dokument tego przepiękny: listy poety do matki z różnych lat życia, cudowny w prostocie, bezpośredniości, w liryzmie miłosnym, poemat synowskiego serca. W epistolografji romantycznej — ogłoszone niedługo — mieć one będą miejsce osobne.

Chodząc po szlaku wytyczonym przez cel zainteresowań zetknąłem się z wielu ludźmi. W Bibljotece Uniwers., ciemnej z zewnątrz, ponurej, jak więzienie, jasnej w środku i świetnie zorganizowanej wiele dobroci doznałem od dawnego, serdecznego opiekuna dyr. Wierczyńskiego ze Lwowa. Tak on, jak jego współpracownik dr. Posadzy wiele mi ułatwili. W nieznacznem oddaleniu na pl. Wolności Biblj. Raczyńskich: rząd kolumn na tle w pompejańskim kolorze. Nagłe skojarzenie podobieństwa: parlament wiedeński, myśl: poznańskie pendent do lwow. Ossolineum. W jej czytelniach zaczytywał się namiętnie Berwiński, a dziś znowu tłumy młodych ludzi siedzą gęsto: jedni przy drugich i pod oknami i pod ścianami. Wśród nich jakby równie młody dyr. Wojtkowski — usłużny, głęboko życzliwy, prosty, jeden z najlepszych znawców przeszłości Wielkopolski, najwybitniejszych jej badaczy. W trzeciej Bibljotece: Tow. Przyjaciół Nauk. dzień w dzień czytałem listy Berwińskiego i serdecznej pomocy doznawałem od p. dr. Dobrzyńskiej-Rybickiej i p. A. Koehlerówny.

W pierwszą niedzielę, wolną od pracy jadę na Dębiec do — Wasylewskiego. Południe. Muślinowa pogoda lekko powiewa pod bladem niebem. Po pół godziny dojeżdżam. Wielkie, trochę koszarowe kamienice i jeszcze dalej wśród ogrodów malutkie, białe, domki. Krążę po uliczkach, jak z bajki: Bluszczowa, Wiśniowa, Lipowa. Wreszcie: Bzowa 12. Tak pachnąco i kolorowo nazywa się zaciszne tusculum Wasylewskiego. A od wewnątrz jest wypieszczone, cacane: antyki, obrazy, medale, książki — wszystko dobierane ze znawstwem i zamiłowaniem. Część oficjalna kończy się szybko. Za chwilę z salonu w dobrej komitywie pniemy się na piętro do bibljoteki i pracowni. Wasylewski krąży niezmordowanie po pokoju, ja bobruję po książkach. Jest swojsko. Gadamy o wszystkiem: o Berwińskim, o Lwowie, o który się serdecznie dopytuje, o Poznaniu: zabawnie mi Wasylewski imituje, jacy „óni" t. j. Poznańczycy są, jak mówią. Godzina jedna, druga. W którejś chwili zapytuję Wasylewskiego co robi. „Nic. Cieszę się — mówi — że narazie nie muszę książek wydawać. Ciągle myślę i gotuję się do napisania historji obyczajowości polskiej". W jakiejś innej chwili gospodarz przynosi gruszki: są chłodne i jeszcze wilgotne od wody, jakby zerwane po rosie. Brzmi w jego głowie ton dumy, gdy zapraszając podkreśla, że są: „dębieckie" — jego własne.

Kiedyś wprost z bibljoteki odwiedzam w radju — Zegadłowicza. Święty Emil Seraficki mówi, że jest tu „na Saksach", że zarabia na to, by wrócić nad swoją beskidzką Skawę. Drukuje poemat: „Podkowa na progu" we Florencji (u Tyszkiewiczów), dramaty zebrane — w Szamotułach. Śmiejemy się. I myślę: Te gruszki i te „Saksy" poetów są dziś bodaj jedne w Polsce. U Ciebie Poznaniu, który świadomie i ambitnie tworzysz swoją kulturę duchową, jak kiedyś ciułałeś pieniądze. Poznaniu — miasto uparte, miasto trzeźwe, miasto konstruktywne.

TYM. TERLECKI

SZYBY O ZMROKU

2)

Pieszczoty, pocałunki, uściski...

Po niebie płynie chmura, zakrywa tarcz księżyca. Robi się ciemno, straszno, gdzieś w dalekości puszczyk zawodzi.

Drżą listki osiki, drzewa Męki Pańskiej.

W lesie głuchy trzask, daleko. Cicho! Cicho! Słychać stuk dwojga serc.

Trzask łamanych gałęzi zbliża się, zbliża. Strwożone duszki leśne ukryły sie we mchu.

Puszczyk zawodzi. Coś jak kroki, coś jak stąpania. Trzask oddala się, oddala. Ucicha. Chmura przepływa dalej. Miesiąc jaśnieje znów — stary satyr. Widzi wszystko, wszystko... Lecz nie zdradzi, nie — on nie zdradzi nikomu!...

Duszki znów podejmują swój pląs.
W gęstwinie szept rośnie, szelest odważniej.
Nagle gdzieś w głębi boru rozlega się strzał. Głuchy, przeciągły.
To leśnik chodzi po lesie i dobra pańskiego strzeże.

I tak co noc, co drugą, co trzecią Henryk z Magdą spotykał się w borze. A Berkowski tymczasem pił naumor, pił coraz więcej. Dzień cały w karczmie, noc — w lesie.

W międzyczasie jesień w coraz więcej złota stroiła drzewa, sieć srebrną babiego lata rozsnuwając na cichych, zamglonych polanach, na błędnych ścieżkach, wśród konarów sękatych.

Jesień...

— — — — — — — — — — — — — — — —

We wsi i w okolicy huczało.

Próbował ksiądz dobrodziej, próbowali coniektórzy sąsiedzi ostrzec i do opamiętania przywieść młodego:

— Nie uchodzi, zgorszenie, grzech!...

Ale Henryk tylko machał ręką. Więc też coraz puściej robiło się wokół niego.

A on przestał bywać po sąsiadach i do niego nikt już nie zajeżdżał... W swej miłości z kretesem zatonął...

Aż razu pewnego, już liść opadł z drzewa, panicz na rękach z lasu przyniósł do domu Magdę, nieprzytomną, bladą, jak płótno.

— Co się stało? — pytano w czeladnej z ciekawością.

— Mówi, że się nastraszyła, ale dyć krew w szmatach widziałem — objaśniał Jan — toć chyba nie ze strachu.

— Juści, co nie — potakiwała gruba kucharka — ani chybi „on" postrzelił tę ladacznicę. A naszemu paniczowi nic? — pytała troskliwie.

— Nic, zdrów jak rybka.

— Oj nieszczęście, nieszczęście z tą łajdaczką! Otumaniła nam pana ze wszystkiem!

Na wsze strony rozbiegli się fornale, po doktora, do apteki.

Z miasteczka lekarz przyjechał, zbadał, przemył, zawiązał i rzekł, że za dwa tygodnie wyliże się kobiecina.

— Szczęście, że śrut drobny i że spódnica wstrzymała pęd naboju.

Kto strzelał, dlaczego i jak tam było w lesie, niewiadomo.

A tem trudniej było się dowiedzieć, iż od owej nocy jesiennej znikł bez śladu Piotr, leśniczy.

Szukano go w okolicy, szukano go po lesie, ale nie bardzo. I nie minęło dziesięć dni, gdy na leśniczówce zakwaterował się jakiś nowy.

Stary dwór wraz ze zniknięciem Berkowskiego odetchnął z ulgą.

Lecz, gdy Magda wyzdrowiała, nowe nastały nań czasy, nowe rządy. Już jej bowiem panicz od siebie nie puścił, a w oczy patrzał, a dogadzał, „jakby wstydu niepomny" — mówiła kucharka. To też nieśmiała i zalękniona dotychczas leśniczyna, coraz butniej poczynała wokół siebie poglądać, coraz śmielej na nowych panoszyć się śmieciach. Stara gospodyni w kąt poszła. Berło domu i gospodarstwa przeszło w krzepkie ręce urodziwej młódki.

Meble się przestawiało, firanki nowe zawieszało, stare makaty wietrzyło, a z poczty coraz to jakieś przychodziły paczki.

Sędziwy dwór z modrzewiu rychło w magazyn mód się zamienił. Na każdym fotelu połyskliwe suknie, strojne kapelusze, batysty, koronki, pończoszki jedwabne. Boże! Czego to tam wszystkiego nie było!

— Śliczności, mówię wam — wzdychała w kuchni „młodsza", co pomagała nowej pani paczki rozwijać.

— I dla kogo to? Dla takiej o! — ze skrzywieniem ust zgryźliwie dorzucała kucharka.

Jednem słowem Magdzia poczęła się stroić. Od rana do zmroku ubierała się, przebierała, przymierzała i wciąż jej luster było za mało. W sypialni, w salonie, a nawet w bibljotece pełno zapachów najdziwniejszych.

A tuż za oknami coraz posępniej szumiał z zieleni odarty bór, smagany strugami jesiennej szarugi.

Henryk żył jak we śnie, w odurzeniu jakiemś, nigdy dosyć nie mając tych ust, co to pachną jak leśne jagody.

A usta te coraz bardziej stawały się kapryśne, coraz to nowych za swe pieszczoty żądając świadczeń.

— Nie mam dosłownie co włożyć na siebie!

— Ależ szafa pęka od sukien, kochanie!

— No tak, ale w żurnalu stoi, co to już niemodne.

I szły pieniężne przekazy pocztowe na coraz to nowe zamówienia do miasta.

Dwór samotny okryła szarzyzna listopada. Jedynym łącznikiem ze światem były gazety. Zaczytywała się w nich obecnie przeważnie Magdzia, wciąż o wyjaśnienia nieznanych nazw i określeń zwracając się do Henryka.

Każde jej odezwanie zaczynało się od słów:

— A jak to tam w Warszawie?

Rozpierała ją ciekawość paląca, chorobliwa. Wszakżeż ci ona nigdzie poza powiatowe nie wyjechała miasteczko!

Chciała wiedzieć wszystko, wszystko! Co się robi, jak się mieszka, jak bawi, jak ubiera w takiem dużem, dużem mieście? A kobiety? A wieczorem? A jak w teatrze? A co się robi na dancingu? — Henryka bawiło to z początku, lecz wnet poczęło go to nudzić. Wtedy uciekał do drugiego pokoju i twarz przyłożywszy do szyby, patrzał w mrok posępny swych ukochanych lasów...

Patrzał — niepomny przestróg cyganki...

Coraz to nowe pisma, przeglądy mód, tygodniki dzień po dniu rozpalały wyobraźnię Magdy, przynosząc na zadrukowanych stronicach powiew kuszący dalekiego Świata...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Już śnieg grudniowy ciepło i przytulnie zasypał bór Henryka, gdy wreszcie zapadła decyzja wyjazdu do Warszawy. Długo się temu panicz opierał, lecz piękna Magdzia o ustach palących póty prosiła, nalegała, póty łzy lała, nóżkami tupała, aż wreszcie zgodził się na ten wojaż.

Zgodził się nie bez lęku, bał się bowiem stolicy. Bał się jak to na ulicach Warszawy da sobie radę wiejska, hoża Magda.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Dała sobie jednak lepiej radę, niż przypuszczał.

Nie minęło bowiem parę tygodni, gdy wystrojona od stóp do głów szła, na ramieniu Henryka oparta, Nowym Światem, nie różniąc się wcale od dziesiątek innych. Przeciwnie, jej uroda bujna, rozkwitająca, jej postać smukła, a wydatna zwracała nawet uwagę ogólną... Kobiety patrzyły zjadliwie, mężczyźni wręcz z pożądaniem.

Obcięła krótko swe cudne, miedziano-kasztanowe sploty i zwichrzyła je, jak wymagał tego nakaz mody. Wargi podkreśliła różem, oczy wielkie, palące uwydatniła ołówkiem. To już nie była Magdzia, lecz — pani Magdalena!

Pozawierali wmig nowe znajomości. W hotelu, w restauracji, przy obiedzie, w barze, w dancingu, czy kawiarni. Znajomości łatwe, błyskotliwe, nierzadko wręcz — podejrzane. Niebawem otoczył ich rój mężczyzn eleganckich, wypomadowanych, bez określonego zajęcia, ni wieku.

Zażyłość rosła. Jedli, pili, bawili się na koszt nowego przyjaciela.

— Ach, drogi Henryku, ach, kochany Heniu!

Z odległej wsi w głębi lasów płynęły, płynęły pieniążki — jak woda. Zbiory sprzedane tego — i przyszłoroczne, a w lasach huk siekier obwieszczał okolicy, iż coraz to nowe połacie odwiecznego boru zmieniają się na tęczowe papierki banknotów. Im w Warszawie dnie mijały błyskawicznie, a raczej noce. Przeszedł karnawał, jak jedno szaleństwo, zbliżała się wiosna. Henryk wściekał się nieraz, nieraz próbował otrząsnąć się, zebrać w sobie, wyjechać, ale jego „miła" ani nawet o tem słyszeć chciała! Czuła się jak u siebie — na wielkomiejskim bruku.

Zhardziała bowiem bardzo od owego czasu, gdy tam na wsi pokornie w oczy pańskie patrzała, każdym drobiazgiem z jego ręki się ciesząc. Zrozumiała swoją nad nim przewagę. Poczuła moc i urok swego prężnego ciała.

To już nie była owa prosta, zaściankowa Magda, własnemi rękoma statki w kuchni szorująca, ani nawet owa Madzia — pańska faworytka, co to już choć kapryśnie i choć po pokojach dworskich z dumną nosiła się miną, jednakże na miękkich, starych meblach z pewną jeszcze nieśmiałością siadała, a portrety kasztelanów i rycerzy ze ścian na nią patrzące, napełniały ją trwogą. Niby faworytka, ale nie tak całkiem jeszcze pewna. Bo a nuż się kaprys pański odmieni i do ojcowej przyjdzie powrócić chałupy? Bo już pani Magdalena na warszawskim znana i uznana gruncie, nie tylko równą się poczuła Henrykowi, ale ba! nawet nieraz zgóry patrzeć poczynała na tego, który jej dotychczas Bogiem i junakiem się zdawał, a teraz często na jej pasku wodzonym niedołęgą, który poza nią świata nie widział.

I coraz jaśniej, choć może podświadomie dostrzegała, że są na świecie i możniejsi od niego i bogatsi, że tylko wybierać, a drugi, trzeci, dziesiąty przyjdzie na jej skinienie, by ciała jej pieszczotą się nasycić!

Nieznacznie, ale z dnia na dzień zbliżała się sprytna leśniczyna ku onym wymarzonym brzegom, które ją obco brzmiącem imieniem „Madeleine" kusiło!

Więc też na błagalne prośby Henrykowe hardo odpowiadać poczęła:

— Chcesz — to wyjeżdżaj sobie. Ja zostaję. Znajdą się tacy, którzy się mną zaopiekują!

Henryk zagryzał wargi, wściekał się, ale zostawał! Nie mógł się już obejść bez niej. Wgryzła mu się w krew, jak trucizna.

— Wyobraźcie sobie, moi kochani — skarżyła się nowym przyjaciołom pani Magdalena — on mnie chce zabrać, by znów się zakopać tam w swej puszczy przebrzydłej!

— Ależ to okłopne! Dłoga pani Magdalenko — szeplenił „hrabia" Otto — przyszły sekretarz poselstwa. — Co za pomysł!

Lecz Henryk coraz częściej myślał o swej „przebrzydłej" puszczy. Myślał z tem większym smętkiem, że uświadamiał sobie, jak niewiele z niej zostało przy nim po zimie spędzonej w stolicy.

Rządca jego na wszystkie natarczywe listy o pieniądze, począł odpowiadać stale:

— „Chwilowo niema. Przednówek. Może później."

A długi rosły, rosły. Pożyczyć było coraz trudniej.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Śnieg tajał gwałtownie, na ulicach, w powietrzu czuć było wiosnę coraz wyraźniej.

Pewnego ranka (było to zresztą południe), gdy Henryk zbudził się wyczerpany po paru godzinach snu w banalnym hotelowym numerze, Magdzia zalotnie podsuwając się pod jego bok, zawołała:

— No, nareszcie śpiochu, myślałam, że się nigdy nie obudzisz!

Była rozkoszna, pachnąca, jej smagłe ciało różowawo przeświecało przez jedwab cienkiej koszuli nocnej.

— Przecież wiesz, że wróciliśmy dopiero nad ranem i tak mnie głowa boli!

— No, dobrze już, dobrze, mój słodki piesku! Chcę z tobą poważnie pomówić. Ale przyrzeknij, że mi nie odmówisz...

— Nie mogę przecież przyrzekać na ślepo!

— Tak, tak, na ślepo, na ślepo kochaneczku...

— Ależ!!!

— Niema żadnego „ale". Otóż słuchaj: Co to dziś? Sobota? Otóż za tydzień jedziemy do Nicy, przez Paryż. Tam właśnie teraz sezon!

— Gdzie? — pytał zdumiony nowym kaprysem.

— No przecież słyszysz, do Nicy! — Z taką odrzekła swobodą, jakby bywała tam co sezon. — Całe towarzystwo teraz tam jedzie. Hrabia Otto i ten gruby Gniwiński, no wiesz, ten co był wczoraj z nami na kolacji, fabrykant z Łodzi...

— Aha, Gneiwer... — mruknął niechętnie.

— Niech ci będzie... Otóż oni wybierają się razem z nami. Jak myślisz? Tydzień wystarczy na formalności paszportowe? A i pieniądze ci ze wsi przyszlą do tego czasu chyba... Po drodze zatrzymamy się w Paryżu, muszę przecież moje tualety uzupełnić. Bo to co mam — to przecież same łachy!

Henryk był oszołomiony.

— Jakżeż to szybko u ciebie idzie, Madziu. Warszawa — Paryż — Nica.

— No, cóż chcesz, nie będę chyba całe życie w Polsce się zanudzać!

Lecz Henryk opamiętał się już i przeciął rozmowę stanowczym głosem:

— Wybij to sobie z głowy, wracamy na wieś!

Madzia jednak nie dawała za wygraną:

— Na wieś? Oszalałeś!

Wymiana słów stawała się coraz gorętsza, Henryk zacinał się w uporze. Słowa ostre, kąśliwe, wręcz ordynarne poczęły latać w powietrzu i obijać się o tapetowe ściany hotelowego numeru. Wreszcie Magda, wiedziona kobiecym instynktem, uciekła się do starego, wypróbowanego sposobu: poczęła łkać głucho z głową schowaną w poduszki.

— Ależ dziecko jesteś, uspokój się!

— Nie, nie, ty mnie już nie kochasz, ja wiem, ty mnie już masz dość!

Zaczęło się pocieszanie. Henryk siadł obok niej i głaskał włosy kasztanowe, rozrzucone w nieładzie. Od ciała jej szedł jakiś żar niezdrowy, aromat upajający, niczem leśna żywica. Przysuwał się coraz bliżej. Wtedy ona nagle zarzuciła mu ramiona na szyję i pociągnęła go ku sobie gwałtownie...

— — — — — — — — — — — — — — —

Delikatne pukanie w drzwi. Za chwilę silniejsze. Jeszcze silniejsze. Z miłosnego ocknęli się szału.

— Kto tam? — zmatowiałym głosem spytał Henryk.

— Proszę pana, jakiś pan czeka na dole w hoolu...

Nie tak łatwo zdobyć się na wyskoczenie z miękkiego, ciepłego łóżka, które nieomal wygląd miało pobojowiska.

Henryk obciągnął zmiętą pyżamę i w pantoflach poczłapał ku drzwiom.

Przez szparę podał mu służący bilet.

Przeczytał i spojrzał kwaśno na Madzię.

— Gniwiński!?

— Aa? — odpowiedział mu z łóżka łaskotliwy głos kochanki. — Powiedz niech zaczeka, za pięć minut będę gotowa.

— Ależ dziecko, wizyta o tej porze!!!

— Jakto? Toż to dwunasta już! Zresztą umówiliśmy się z nim wczoraj!

— Umówiliśmy się? Wczoraj? — niedowierzająco pytał Henryk.

— Ach, tak, tak, ty nigdy niczego nie pamiętasz! Odpraw kelnera i zamknij drzwi, bo ja chcę wstawać.

— No to on poczeka długo, już ja znam twoje 5 minut!

— Znowu mi zaczynasz dokuczać? Ot, lepiej poszedłbyś się myć, bo ja za chwilę potrzebuję łazienki.

Bez słowa protestu skierował się ku biało lakierowanym drzwiom, a za nim leciał jeszcze imperatywny głosik Madzi:

— A pamiętaj! Najdalej za tydzień wyjeżdżamy!...

— — — — — — — — — — — — — — —

W zastawionej palmami czytelni hotelowej, rozkoszna, pachnąca pani Madzia obie ręce wyciąga ku zażywnemu panu w nienagannym garniturze. Gość na powitanie pokrywa pocałunkami jej palce.

— No, więc cóż Henryk, decyduje się na Nicę?

— Zdaje się, że tak, tylko — pan go zna — on taki stał się ostatniemi czasy chwiejny w postanowieniach. Dziś przyrzeka, a jutro znów chce uciekać na wieś!

— Na wieś? I panią wywieźć ze sobą, nasze śliczności? Też pomysł! Ależ doprawdy on się starzeje...

— I pan to też zauważył?

— On istotnie staje się z tem wszystkiem nudny... No, a gdybyśmy tak sobie pojechali — bez niego?

— Nigdy, nigdy, broni się Madzia gorąco, ale ton jej głosu nie brzmi szczerze...

— On twierdzi, że nie ma na to. A gdyby mu tak pan pożyczył? Pan przecież jego przyjaciel?

— No tak, tak, bezwątpienia, ale czasy są takie ciężkie... Zresztą mniejsza o niego, nie mówmy o tem. Pani jest dziś czarująca — doprawdy!

I starannie zaczesana łysinka pana Gniwińskiego gnie się ku pulchnym ramionom Magdy...

— — — — — — — — — — — — — — —

Jakżeż ciężko wyciągać nogi z śniegowego błota. Kalosze ślizgają się po zlodowaciałej grudzie. Przenikliwy wiatr od Wisły przedmuchuje do kości, mimo postawionego kołnierza palta. Henryk brnie zaśnieżonemi ulicami stolicy, a mózg jego świdruje boleśnie jedna myśl tylko — skąd wziąć pieniędzy dla Madzi? Jak zdobyć środki na zaspokojenie jej najnowszych zachcianek?

— — — — — — — — — — — — — — —

W pustej czytelni na ustronnej kozetce w szary pobrzask popołudnia siedzą przy czarnej kawie i likierach piękna pani Magdalena i „Król bawełny" z Łodzi.

— Nie, nie, nie można — broni się — będą znaki, nie można tam całować, pozwalam tylko po łokcie!

— Ach, droga, ramiona twoje są upajające!

— — — — — — — — — — — — — — —

Jakżeż ciężko wyciągać nogi z śniegowego błota!

Jakżeż przykre są dni biegania, kręcenia się, łamania sobie głowy, by zdobyć trochę tej marnej mamony, tak wszechmocnej jednakże!

Rzuca się człowiek na lewo, rzuca na prawo, jak ryba, której wody zabrakło!

Znikąd pomocy, znikąd ratunku. Wczorajsi przyjaciele odwracają się plecami. Na wszystkie telegramy przychodzi z majątku lakoniczna odpowiedź: Narazie, niemożliwe!

— Sprzedać ten ostatni szmat ojcowizny? Nie, nigdy, wzdraga się dusza Henryka. A co rano, co wieczór kłuje pytaniami prosto w serce, zniecierpliwiona kochanka.

— No, jakżeż tam formalności paszportowe? Sprawa postępuje?

Wymijające, niechętne odpowiedzi.

A piękna pani Madzia przed zaśnięciem odurza się raz jeszcze upojnemi słowami Gniwińskiego, szeptanemi jej w długich godzinach nieobecności Henryka:

— Pani jest taki kwiat egzotyczny, który trzeba wywieźć daleko, na południe, nad morze, gdzie palmy słodko szumią, precz z obrzydłej Polski, hen — gdzie niema zimy, ani błota, ani śniegu i tam dopiero rozkwitniesz wspaniale, czarująca moja „Madeleine"!

I leśniczyna z głuchych borów kresowych czuje się nagle „kwiatem egzotycznym" i znajduje, iż nazwa „Madeleine" brzmi o wiele wytworniej, o wiele pieszczotliwiej od polskiej Magdy, bo brzmi — zcudzoziemska! A chociaż nie wszystko rozumie, co do niej mówią eleganccy panowie we frakach, to jednak czuje, że własna jej wartość rośnie, rosną też i jej pretensje, jej wymagania. Więc minki robi takie, jakby nie tylko rozumiała, ale jeszcze — hoho! — o wiele, wiele więcej!

Aż znajomi jej młodzieńcy nieraz szeptają między sobą:

— Ktoby to przypuszczał, że taka prowincjonalna piękność tyle ma sprytu! To nieprzeciętna, głęboka kobieta! Gdzie, kiedy ona się tego wszystkiego nauczyła?

A Madzia prosto przed siebie szła ku swemu szczęściu, skrzętnie chwytając wszystko to, co dawała jej atmosfera chwili.

Ten obok niej drzemiący mężczyzna zbyt już dla niej stał się pierwotny, zbyt swojski, zbyt leśny, ot — poprostu spowszedniał, jak razowy chleb, a jej już tylko pszenne smakują bułeczki. O czemś innem marzy już, o czemś nieznanem, nienazwanem, a imię jego — wielki, nieogarnięty świat!

— — — — — — — — — — — — — — —

Pod budą trzęsącej się dorożki jedzie Henryk do przyjaciela Zygmunta, do Banku. Przypomniał sobie o nim przypadkiem, natrafiwszy w którejś z kieszeni na stary, pomięty list.

O wszechwładne, a tak napozór drobne życia ludzkiego przypadki!

Przypomniał i pomyślał — spróbuję, to ostatnia chyba deska ratunku!

Porozumiał się z nim telefonicznie i oto — jedzie. Głupio mu, nieswojo, jedzie prosić o pożyczkę! Ach jakie to wstrętne, lepiej chyba ukraść, niż prosić. Ale cóż zrobić? Twardy mus, pod postacią palących ust Madzi, przynagla go do tego kroku, podcina niby ostrym batem ostatkiem sił biegnącego wierzchowca.

Wstrząs nagły. Mokre chlapnięcie skórzanej budy. Dojechali.

Wysiada i zagłębia się w mroczną bramę, pustą — dzięki Bogu! Nikogo. Nic dziwnego, wszak to już dawno po biurowych godzinach!

Cicho stąpa po chodnikach, odgłos kroków głuszących. Marmurowe stopnie schodów unoszą go ku górze.

Tak, pierwsze piętro, to tutaj. Lustra, jakby z za mgły, mroczne korytarze, leniwo syczy nawpół przyćmiony gaz.

Stara, warszawska kamienica. Solidna, przedwojenna. Odziedziczona po ojcach, jak i ten bank. Pusto, głucho.

Którędy iść? Ach, tak prosto przed siebie. Wabi złocisty napis miedzianej tabliczki: „Dyrekcja".

U wysokiej, w gryfy rzeźbionej klamki przystaje niezdecydowany. Puka. Zrazu nieśmiało. Nic, cisza. Mocniej, za drzwiami szelest jakiś, jakiś ruch. Naciska klamkę. Wchodzi w smugę światła, w czerwień kobierca. U wielkiego dębowego biurka, coś się porusza, dźwiga.

Tak, to on. Zygmunt. Wyciąga ramiona do uścisku. Konwencjonalnie, a może i naprawdę serdecznie? Któż zbadał tajne serc ludzkich odruchy? Zawszeć wspomnienia lat dawno minionych odmładzają duszę!

Henryk w połowie gabinetu przystaje. Wreszcie opanowawszy się, podchodzi bliżej. Spotykają się w pół drogi. Powitania. Badawcze wzajemne spojrzenia. Kto z nas więcej się zmienił, ty — czy ja?

— No, siadajżeż, siadaj, mój kochany żubrze, opowiadaj co cię sprowadza do Warszawy? Nie otrzymawszy odpowiedzi na mój list, całkiem już w ciebie zwątpiłem. Cóż, interesy dobrze idą? Gospodarstwo? No, na pewno, wszak z ciebie zawołany gospodarz!

Zygmunt mówi szybko, łatwo, ujmująco.

Przez twarz gościa przelatuje smuga cienia. Chciałby mu odpowiedzieć tak samo, rozmawiać jak równy z równym, ale czuje, że mu się to nie uda. Wszak przyszedł po prośbie! To go krępuje, to go onieśmiela. Jego! Pana dziedzica! Sytuacja jest jednak tak niemiła!

Na inny przeskakuje więc temat.

— Ależ u ciebie wspaniale! Niczem u ministra!

Bezwiedny szeroki ruch ręki mówi sam za siebie z udaną skromnością:

— No, tak, dorobiłem się, to moja praca, moja zapobiegliwość, mój trud...

— Może pozwolisz cygarko? Co? — dyrektor do otwartej podchodzi kasy, nachyla się, hałasuje pudełkami.

Henryk bezwiednie wstaje, cicho idzie za nim, przez ramię mu zagląda.

Wnętrze pancerne oświetlone żarówką. Stosy obcych, wysokocennych walut piętrzą się w stalowych przegródkach.

— Tyle pieniędzy! Boże! Aż coś oddech w piersi zapiera... Wzrok niespokojny w lewo, wzrok niespokojny w prawo. A pod czaszką wiruje, wiruje, wiruje... Mgławica nienazwanej jeszcze myśli. Za jakiś tam ułomek sekundy myśl ta przeraźliwa rozświetli się, rozczerwieni, w kształt oblecze żywy nieodpartej konieczności.

Już przeczuwa, co to ma być, ale jeszcze... jeszcze nie chce wiedzieć! Darmo! Nie umknie losu! Darmo! Nie ucieknie myśli! Ona już w mózgu jest wyraźna, nieodparta i coraz jaśniej się krystalizuje.

Kiedy się zrodziła? Jak? Dlaczego? Jakiemi wędrowała szlaki?

— Nie zbada tego nikt.

I oto nagle on — szlachcic o nieskazitelnem nazwisku, on — z dziada-pradziada dumny pan — po długi, ostry nóż sięga — zwyczajny, niewinny nóż do przecinania papieru, leżący opodal, cacko snycerskiej roboty z kunsztownie rzeźbioną rączką. Chwyta i ściska kurczowo i na coś jeszcze czeka.

A tamten nic. Nie przeczuwa nawet.

Gdyby się bodaj odwrócił!

Ale nie — grzebie dalej w skrzynce z cygarami.

Przeznaczenie!!

— — O jakżeż żywicznie pachną twoje usta, twoje usta — nierządne — Magdaleno! Jakaż to w nich potęga!

...Cienkie ostrze wznosi się w górę i spada gwałtownie, niespodzianie, niczem katowski miecz.

Cała wieczność przeżyta u otwartych drzwiczek kasy, cały ponury rozgrywa się dramat, chociaż w paru zaledwie sekundach.

Głuchy stuk padającego ciała, ręce zsiniałe gwałtownie drapią puszysty dywan.

Jakżeż to łatwo, jakżeż to szybko idzie!

Henryk nieruchomieje nad swoją ofiarą. Zabił, tak zabił. Nie, jeszcze nie, jeszcze rzęzi — towarzysz z ławy szkolnej, człowiek, który mu nic nie zawinił — oto kona tu, u jego stóp!

Wszystkie groźby katechizmu, cała wieloletnio wpajana etyka, tamta Boska i ta, ludzka, starają się wstrząsnąć nim i grozą go napoić. Podsunąć przed oczy cały ogrom jego zbrodni!

Lecz — dziwna rzecz! Nic robi to na nim wrażenia. Ten oto na dywanie taki mu obojętny! Nie robi — chociaż to pierwszy raz! Całkiem tak, jakby zwierza dzikiego w kniei zakłuł!

Nie może się zmusić do tego by o nim przez chwilę choć pomyśleć! Potworne w nagości swej objawienie napełnia go bezmiarem zdziwienia: A gdzież są te wyrzuty sumienia?

Oto zabił i tak jest spokojny, jakgdyby muchę zgniótł, co mu przeszkadzała. Nic więcej. A w duszy miast żalu, skruchy — chytra budzi się przezorność: wziąć pieniądze i zatrzeć za sobą ślady!

Chciwie rzuca się ku kasie po owoce swej zbrodni. Pośpiesznie napełnia kieszenie palta dolarowemi banknotami.

A teraz upozorować jakoś. Tam za plecyma okno wychodzące na podwórze. Trzeba je zbić, by trop fałszywy zostawić policji!

Odwraca się i — — — truchleje!

Tam za szybą, popielatą od mroku marcowego zmierzchania — za szybą — jakaś twarz, jakieś oczy palące, wlepione w niego...

Gdzie widział tę twarz? Skąd zna te oczy? Paniczny lęk ubezwładnia go. Teraz dopiero odczuwa strach. Nie żal, nie wstyd — jeno strach! Piekielny strach!

Niby tabunna szarża rozhukanych w stepie koni przelatuje przez mózg jego jedna za drugą mara, upiór, smoczysko potworne.

I na spopielałe wybiega wargi bezgłośnym szelestem jakby zmiętych słów:

„Nie patrz w szyby o zmroku!"

Stara, w borze poczęta przestroga lat dawnych, lat dzieciństwa! Przekleństwo! Porywa przycisk z biurka i ciska nim w szybę. Brzęk szkła. Ostry podmuch wiatru.

Podbiega ku oknu, otwiera szeroko, wychyla się.

Ale na pustem, szarem podwórku dostrzec nie może nikogo!

A na dworze pada śnieg. — Śnieg biały i w kałuże błotniste rozlewa się na jezdniach.

— Nie widział mnie nikt, nikt mnie nie widział. Ani na schodach, ani w bramie, ani na ulicy. A twarz w szybie? Dzieciństwo, przywidzenie!

Stara się nie myśleć o niczem, niczem, tylko o bliskiej podróży z nią — na jasny brzeg!

Tak, teraz ma środki. Teraz wywiezie ją zdala od tej zgrai podejrzanych przyjaciół, teraz będą znów sami we dwoje!

Pod hotelem zatrzymuje się. Nie, w tym stanie lepiej do niej nie iść! Trzeba się uspokoić, zebrać myśli trochę, a nadewszystko zrobić porządek z pieniędzmi. Nie może przecież chodzić obładowany dolarami jak woźny.

Zawraca i na dworcu wiedeńskim mienia pieniądze; część chowa do portfelu, resztę wiąże w pakiet i na przechowanie oddaje w garderobie.

A potem przy szklance gorącej herbaty na pół z konjakiem zmieszanej — jak dobrze robi taka szklanka — wydychuje swój strach i przerażenie, uspokaja się, przychodzi do równowagi.

— Za dni parę błękitne zajaśnieje nam niebo, za dni parę... Boże mój!

Śpieszno mu do niej, a jednak ociąga się. Bacznie ogląda swoje ręce. Dzieciństwo, skądżeby znowu ślady krwi! Przecież ręce obmył dokładnie.

A jednak... Czy rękoma temi będzie mógł pieścić ją jeszcze?

Pieścić?! Głośno wymawia to słowo i na dźwięk jego czuje, jak tęsknota zalewa mu serce, zwilża oczy. Ledwo pół dnia jej nie widział, a oto rady sobie dać nie może, jużby leciał do niej, byle być blisko, czuć zapach jej ciała, słyszeć dźwięk jej głosu!

Lecz nie, nie pójdzie jeszcze. To go i tak nie minie. Naumyślnie z jakąś sadystyczną rozkoszą przedłuża mękę tęsknoty.

Wszak czasem słodsze marzenie, niż jawa!

Podróżni wchodzą, wychodzą. Numerowi wnoszą rzeczy, wynoszą. Tłum wokół niego kotłuje, przewala się, kipi. On nie wie nic o tem wszystkiem, wciśnięty w róg wielkiej sali.

Pociągi gwiżdżą głucho. Lecz jego pociąg już w drodze, kołysze się lekko w takt kół. Wiezie go w czarowny kraj snów! Madziu!

Już blisko północ była, gdy się ocknął. Wstał, zapłacił rachunek, wsiadł w dorożkę.

— Rozkosznie zaspana czeka na mnie, tam w dobrem, ciepłem łóżku! — myślał i omotywał się w myśli o jej ciało bujne, rubensowskie. Zadzwonił. Minął hotelowy przedsionek, kierując się ku windzie.

Portjer pobiegł za nim:

— Proszę pana!

Zdziwiony odwrócił głowę.

— Przepraszam bardzo, ale pani niema, klucz na dole.

Przystanął, zdumiał się. Ten człowiek chyba pijany.

— Co takiego? Dlaczego?

— Bo, bo — bąkał coraz bardziej zmieszany człowieczyna w liberji — pani...

— Co? Gdzie? Mów!!

Schwycił za ramię portjera, dziko, jak furjat.

— Ależ proszę mnie nie szarpać. Ja wszystko powiem: pani wyjechała...

— Wy-je-cha-ła!? — jęknęło z piersi Henryka.

— Tak z panem dyrektorem Gniwińskim.

Henryk upadł na fotel klubowy stojący opodal i twarz zakrył rękoma.

Stojący przed nim sługus miął czapkę w garści. Przyćmione światło żarówek rzucało wokół długie pasmugi cienia.

— Dokąd? — wybiegło głucho z ust siedzącego.

— Nie wiem, zdaje się za granicę. Oto list.

Machinalnie rozdarł kopertę i trzęsącemi się palcami rozwinął mocno wyperfumowany arkusik. Czytał...

„Mój drogi Henryku!...

Krew zalała mu oczy, nie widział już liter.

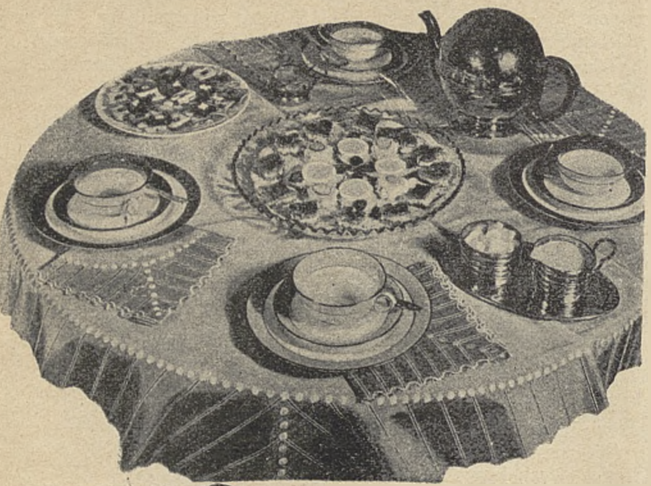
Z chrapliwym porwał się okrzykiem: A ja dla niej! — Boże!

— Co panu jest? Może doktora? — zaniepokojony skoczył portjer.

— Precz! Rzeczy do auta! Na kolej — syknął i roztrącając nadbiegłą służbę — wybiegł w czarną, wilgotną noc.

(C. d. n) TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN

KRYZYSOWY BRYDŻ



Modne nakrycie stołu do herbatki brydżowej



CO KRAJ, to obyczaj — mówi przysłowie. A teraz wypada mówić: co czas, to zwyczaj, co się równa temu, że jakie nastają czasy, takie się odpowiednio do nich urabiają zwyczaje.

Nie ominęło to i brydża. Na nim również odbił się „duch czasu": kryzys.

Importowany z zagranicy — jak wszystko, co ma tę niezawodną u nas markę — był w początkach swego panowania benjaminkiem sfer nie liczących się z groszem, ani z tem: co, jak, kiedy — które gnębi obecnie różne panie domu.

Zczasem brydż zstąpił z piedestału, spopularyzował się, rozsiadł się (a może rozłożył się) przy stolikach już nietylko pluto — ale i demokracji, tej najpospolitszej, dobrotliwie wyśmiewanej burżuazji, której zawdzięczamy tyle kapitalnych dowcipów, tyle rozkosznych sytuacyj komedjowych i zdrowego śmiechu.

A po tem zbrataniu się ze wszystkiemi stanami, przyszedł na zdemokratyzowanego brydża w dodatku kryzys. Po kryzysie — redukcja.

Jest więc monarchą bez tronu, trochę zubożałym, ale niemniej miłym i pożądanym wszędzie, jak zresztą inni zdetronizowani władcy.

Jakto, zapytacie, jakiż to rodzaj kryzysu, co za redukcja. Karty takie same, zasady gry niezmienione ani wymagana ilość osób, ilość godzin gry zależna jak dawniej od nastroju u graczy — więc cóż tu ma do gadania *kryzys?* A owszem, właśnie że ma! Redukcja rozsnuła swoje macki i dokoła tego ongiś rozpuszczonego gagatka. Gra sama nie zmieniła się, ale towarzyszące jej akcesorja uległy ewolucji. Słowo: ewolucja jest takiem gładkiem, pojemnem wyrażeniem, które łagodzi i upiększa różne obniżenia poziomu, umniejszenia, ukrócenia i t. p. niemile brzmiące określenia.

A więc ta ewolucja i te akcesorja to nic innego jak poprostu zmiana przyjęć, które zatraciły pierwotną wystawność. Panie domu nie silą się w kierunku wspaniałości przyjęć, ani toalet, ale wprost przeciwnie: prostoty. Chcą podać w formie miłej i wytwornej to, co najniezbędniejsze. A gracze — jakże mam nazwać panie grające, bo gracze to przecież termin dla mężczyzn, a trudno wymyśleć dla pań coś pochodnego od słowa: gracz. Zanim napiszę o pomoc do któregoś z augurów językowych, by ukuł nowy wyraz, powiem poprostu: brydżystki. Zatem: a brydżystki i brydżyści będą tylko zadowoleni, że nie muszą za dużo „cennego" czasu trwonić na przesiadywanie przy suto zastawionym stole, a potem na krytykowanie przyjęcia — (im skromniejsze, tem prędzej można się załatwić z obmową). Skromne przyjęcia zaczynają należeć do dobrego tonu tych sfer, którym blasku towarzyskiego, ani pozycji w hierarchji społecznej nie nada luksusowy tryb życia. Będą sobą zawsze i wszędzie i w każdej — redukcji.

Snobizm więc, który uświęcał już tyle głupot i nonsensów, tyle śmiesznostek ludzkich, zaczyna w dobie kryzysu uświęcać rzeczy rozsądne, celowe, praktyczne. Dlaczego — rozumuje ten nowy snobizm — dlaczego obkarmiać do niestrawności graczy, którzy pasjonują się do gry, a nie do półmisków, bo te mogą mieć przecież w domu. Dlaczego żyć w myśl nakazu, powstałego w czasach przebrzmiałych: zastaw się a postaw się? Rzućmy to wszystko, te obciążenia niepotrzebne, te zahamowania i — zasiadajmy do gry.

A teraz praktyczna strona informacyjna dla pań domu.

Na brydża można zapraszać o trzech porach dnia, t. zn. są trzy rodzaje przyjęć.

W porze przyjętej na zwykłe herbatki od godziny piątej do siódmej po południu, co się zazwyczaj przeciąga do godziny ósmej. Goście jednak powinni pamiętać, że zaproszenie na tę porę nie upoważnia do pozostania dłużej, gdyż wprowadziliby w kłopot gospodarstwo, którzy nie są przygotowani na kolację.

Drugi rodzaj zaproszenia — to kolacja. W tym przypadku pora pozostania, tak jak i w następnym, nie jest ograniczona.

Trzeci rodzaj — coraz bardziej wzięty — zaproszenie na dziewiątą lub pół do dziesiątej, czyli po kolacji. Wysyłając zaproszenie na tę porę, nie można dodawać objaśnienia: prosimy przyjść po kolacji, bo to jest niedopuszczalne. Ludzie przeciętnie obyci towarzysko sami rozumieją do czego obowiązuje podana na zaproszeniu godzina. Zaproszenia na popołudniowe herbatki, na których jest zaznaczone od której do której godziny trwa przyjęcie, są coraz więcej w użyciu i mają uzasadnienie może właśnie ze względu na osoby nie orjentujące się w zwyczajach.

Przyjęcia powinny obecnie być jak najskromniejsze; piękna bielizna stołowa, serwetki haftowane ręcznie, świeże kwiaty, a w ich braku wonne gałązki sosnowe. Do brydża o piątej, jeśli zaproszonych jest niewiele, nakrywa się kolorową serwetą stół i przy nim podaje herbatę i herbatniki. Może być tort lub ciastka domowej roboty; kupne są w złym tonie, z wyjątkiem pączków, które w okresie karnawałowym podaje się narówni z faworkami. *Wina, wódki, likierów o tej porze nie podaje się bezwarunkowo* Słone pieczywko jest mile widziane: precelki, paluszki. W czasie gry można roznosić na tacy herbatę, ale najlepiej ustawić stolik obok graczy, by im nie przeszkadzać zaproszeniem w chwilach, gdy ich uwaga skupiona na grze. W niektórych domach podawane są minjaturowe ostre kanapki, na raz do ust, od tego nazwane „bouchees". Ale zaznaczam, że herbata i herbatniki wystarczają najzupełniej. Gdy osób zaproszonych więcej, milszą formą są małe osobne stoliki, stwarzające swobodny nastrój już chociażby przez to samo, że można się przesiadać kolejno od jednego do drugiego, co przy wspólnym stole nie jest możliwe. Czarna kawa jest już niemodna na popołudniowych herbatkach. Tem lepiej, bo taniej.

Kolacja na kryzysowym brydżu zupełnie skromna, ale w każdym razie nie taka, by goście wstali głodni. Nieunikniona, lecz jakże niepotrzebna, wódka z zakąską, szary barszcz w filiżankach, mięsne danie ciepłe lub zimne, krem, albo galaretka. Do mięsa piwo lub wino. Ponieważ napoje alkoholowe są bardzo drogie, radzę domowe nalewki, domowe lub przynajmniej krajowe owocowe wina. Jeśli już alkohol wogóle być musi; ale dla zdrowia i kieszeni najkorzystniej uprawiać i propagować abstynencję. Czarną kawę podaje się po odejściu od stołu; dawniej obowiązywał do niej likier; obecnie można się obejść bez niego. Można go też zastąpić domową nalewką. Mniej więcej po dwóch godzinach gry roznosi się na tacy, albo ustawia na stolikach jak wyżej, herbatę, czarną kawę, herbatniki lub domowe suche ciastka.

Ugoszczenie na zaproszeniu po kolacji ogranicza się do czarnej kawy, herbaty, herbatników i słonego pieczywka; ewentualnie likieru lub nalewki, ale to zupełnie nie jest niezbędne. Podaje się tuż po zejściu się zaproszonych. Gdy gra przeciąga się do późna, należy powtórnie podać kawę, herbatę i herbatniki, albo malutkie kanapki i słone pieczywko. W zimie szary barszcz, w lecie chłodniki. Papierosy, zapałki i dostateczna ilość popielniczek musi być zawsze podczas przyjęć pod ręką.

Bardzo miły nastrój wytwarza samowar i maszynka do czarnej kawy w pokoju — i pani domu sama nalewająca do filiżanek, które roznosi na tacy służba, a w skromniejszych warunkach, i w ściśłem gronie przyjaciół, ktoś z rodziny lub z najbliższych. Napoje powinny być gorące.

Pamiętać należy o nienagannem ubraniu służby, o ich czystości osobistej, o śnieżnej bieli rękawiczek dla służącego, a czarnej sukni z białym garniturem dla służącej. Ponieważ ta ostatnia usługuje bez rękawiczek, więc ręce muszą być skrupulatnie umyte, paznokcie czyściutkie i krótko przycięte, twarz bez pudru, usta naturalne. Dziewczyna nie powinna robić wrażenia pokojówki z operetki.

Na tle podanych tutaj wskazówek można urządzać przyjęcia zależne od indywidualnych możliwości finansowych, ale radzę zawsze raczej skromniej, aniżeli wystawniej. Po tłustych latach przyszły chude i dziś ugoszczenie gra podrzędną rolę; idzie nam obecnie więcej o atmosferę i rodzaj towarzystwa, o ułatwienie obcowania z ludźmi bez zbytnich obciążeń finansowych. A sam brydż, z powodu którego wszystko to piszę, przybrał dobroduszne oblicze, nie wynosi się, nie jest to już ów z wysoka spoglądający, nieustępliwych form wytworniś. Jest zapanbrat z każdym, a niezadługo zastąpi zacnego marjasza i pasjanse naszym drogim praszczurom. Ot, zagalopowałam się nieopatrznie — przecież to pokolenie nie ma czasu na grę w karty, bo właśnie ćwiczy najnowsze „pas" — także z zagranicy importowane...

KONSTANCJA SOBAŃSKA

PLOTECZKI O MODZIE

STOSOWNIE do zapowiedzi w poprzednim numerze podzielę się dziś z Czytelniczkami wiadomościami o sukniach przeznaczonych na wieczorowe przyjęcia i zabawy taneczne. Panie zapewne zrozumieją powagę chwili i ograniczą swoje wymagania toaletowe do niezbędnego minimum, ale informacje szczegółowe mieć muszą, właśnie dlatego, by mogły zorjentować się, w którym kierunku skierować pociągnięcia ekonomiczne, *gdyż toalety tegoroczne będą bardzo skromne.*



Dwa typy sukien *wieczorowych* — przyniósł sezon tegoroczny. Pierwszy to *linja sukni miękko opływającej postać, modelującej zarysy ciała, suknia-futerał*, która dołem nie rozszerza się, lecz równo spada do kostek, a czasem wydłuża się w tren, krajany razem z suknią. Dekoltaż zprzodu bardzo umiarkowany, czasem dochodzący aż pod obojczyki, ale zato plecy odsłonione do pasa. Dekoltaże wtyle są w fantazyjny sposób przerywane szeleczkami skrzyżowanemi, girlandami drobniutkich kwiatów, udrapowaniem materjału spiętego agrafą. Suknia-futerał bywa czasem tak wąska, tak dokładnie obejmująca ciało, że centymetr ponadto już robi różnicę, ale mistrzowski krój zapewnia mimo to swobodę ruchów.

Drugi typ reprezentuje suknia przeładowana falbankami, szeroka, fałdzista, jakby ze starych portretów zdjęta. Odradzam ją moim Czytelniczkom z różnych powodów, z których każdy jest równie ważny. A więc przedewszystkiem z powodów ekonomicznych, czyli nadmiernej ilości materjału, jakiej taki model wymaga. Następnie z powodu różnych niepraktycznych momentów związanych z nią, jak np. problem płaszcza odpowiedniego, mięcie się falbanek i draperyj wtyle, gdy wypadnie dłużej siedzieć, albo odbyć dłuższą jazdę na miejsce przeznaczenia. Wreszcie, taką strojną, przeładowaną przybraniami toaletę niekażda z pań potrafi nosić z obowiązującym, poważnym wdziękiem i zgóry można zapewnić, że tylko wyjątkowo komu będzie w niej do twarzy.

Poświęćmy więc główną uwagę modelowi pierwszemu, jako więcej odpowiadającemu warunkom doby obecnej, t. j. potrzebie oszczędności. Jedna z czołowych twórczyń mody w Paryżu twierdzi, że z chwilą, w której kobieta ma zasadniczą *robe-fourreau*, czyli suknię-futerał, otwarte są dla niej niezliczone możliwości i odmiany fasonów. Może na niej rozmieszczać najfantastyczniejsze draperje, nagromadzenie wolantów, żabotów, upięcia, kokardy-olbrzymy, bezsensownie powikłane zwoje materjału i uzyskać w ten sposób arcydzieło nowoczesnego kaprysu krawieckiego. Jeden jest tylko warunek: toaleta musi być przybrana w ten sposób *wyłącznie wtyle*; przód jest gładki, spokojny w linji.

Często jednak pozostaje zachowana linja prosta sukni, urozmaicona tylko kokardą poniżej pasa, albo przybraniem stanika wolantem u wycięcia, kołnierzem skrzyżowanym à la Marie Antoinette, krótkiemi rękawkami tworzącemi bufki, epoletkami z drobnych splisowanych falbanek. Również powiewne szale, proste lub asymetryczne, czasem w dwóch kolorach, zdobią staniki wieczorowych i balowych sukien.

Niektóre suknie wieczorowe przedstawiają odmienny widok zależnie od tego skąd je oglądamy — zprzodu, czy ztyłu. Tył sukni, kapryśnie przybrany, budzi główne zainteresowanie wykonawczyń; wszystkie ich usiłowania zaś skupiają się na tem, by mimo nagromadzenia materjału w tyle zachować naogół linję wybitnie smukłą. Napozór wydawać się to może nie do osiągnięcia — ale w rzeczywistości taki przeładowany tył podkreśla tylko smukłość sylwetki.

Przybrania wtyle, o których mowa, bywają rozmieszczane na różnych wysokościach sukni, co zależy od budowy i wzrostu właścicielki toalety. Mamy więc kaskady wolantów biegnące od pasa wdół i przechodzące w tren, lub kończące się równo z brzegiem sukni; bogaty wolant umieszczony nisko na sukni; draperję idącą od pasa a kończącą się w połowie sukni; „pouf" z roku 1880, który wprowadził Lucien Lelong na zbliżający się karnawał. Oryginalne przybranie, którego „jeszcze nie było", stanowią olbrzymie kokardy-motyle, umieszczone na staniku wtyle w okolicy ramion. Stosują je chętnie panie, obawiające się naruszyć smukłość sylwetki przez nagromadzenie draperyj na linji bioder. Bo mimo wszystko, cokolwiek słyszymy o powrocie do pełnych kształtów, modele, jakie nam przynosi moda, wymagają szczupłości.

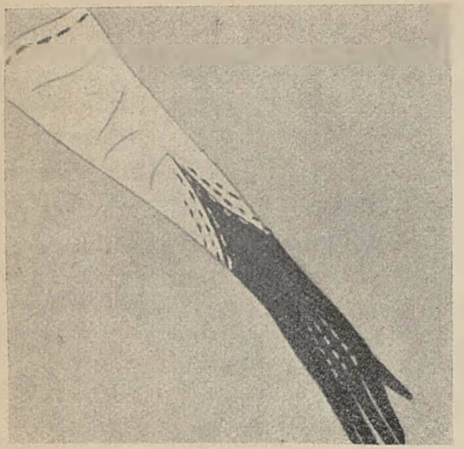


Modne wykończenia dekoltaży

Wybór materjału na suknie wieczorowe — zależy od tego, czy chcemy mieć skromną, czy strojną toaletę. A więc jedwabne krepy matowe i lśniące, z peau d'Ange na czele, jedwabny aksamit w wielorakich odmianach jak panne, velours-chiffon, Saint Hubert, aksamit Bagheera matowy jedwabny — nowy gatunek specjalnie ulubiony w tym sezonie — koronka, faille, brokaty, lamy, tiule.

W dziale brokatów, lam i tiulów — pojawiły się nowości tak przedziwnie piękne, że aż z bajką graniczące; niestety, prozaiczne pióro referentki mody nie zdoła tych cudów opisać wiernie. Nowe wzory tegorocznych lam i brokatów oparte są o motywy perskie i naprawdę nie wiedzieć, co więcej podziwiać czy przepych łagodnych barw, lśniących dyskretnie przetykanemi nitkami metalowemi, czy subtelny rysunek deseni przedstawiających sceny z życia Persów, kwiaty, gałązki, liście.

Tiule — we wszystkich modnych odcieniach — nie przypominają już nawet dawnych regularnych oczek, lecz robią wrażenie koronkowych lub haftowanych poematów, ręką wróżki wyczarowanych na zwiewnej osnowie tiulu, przetykanej nitkami jedwabnemi. Przebojem sezonu jest wełniany tiul o takich samych wzorach, jak powyżej.



Wełniane tiulowe koronki i wstawki mocno przejrzyste, układające się miękko, są poszukiwane do przybrań toalet wieczorowych. Jeśli dodam, że tiule wyrabiane są nietylko jedno- ale i wielobarwne, zachęcę niejedną Czytelniczkę do tej poetycznej tkaniny. A przytem, proszę tylko pomyśleć, jak taki tiul ułatwia powstanie nowiutkiej toalety, efektowej a mimo to dyskretnej i nadewszystko — taniej. Na zeszłoroczny „futerał" zarzucamy tiulowe przykrycie, przytrzymujemy je paskiem i mamy strój gotowy. Oczywiście, dekoltaż trzeba misternie opracować. Może być lekka draperja na staniku zprzodu i na plecach — przy wycięciu owalnem — połączona epoletkami z wolancików.

Kolory? — Otóż prawdę mówiąc wszystkie są modne, a tylko niektóre specjalnie faworyzowane przez poszczególne firmy krawieckie. A więc zacznijmy od białego, który utrzymuje się na pierwszym planie; czarny, zielony, różowy, fuksja, czerwony, niebieski, szafirowy, fiołkowy, pomarańczowy, perłowy, lila, materjały imprimé. Czarny łączony chętnie z białym. I co powiecie — amarant modny!

Krótkie rękawki — bufki lub kimonowe, czasem uformowane z wolantów, widzimy często przy sukniach wieczorowych. Ostatnim pomysłem jest naszywanie ich dżetami, pailletami, perełkami błyszczącemi. Przy czarnych — białemi, przy białych — czarnemi.

Zdobienie futrem — sukien wieczorowych ma zwolenniczki, zwłaszcza przy żakiecikach i dołach sukien. A futra z wełny, puszyste i lekkie, są poprostu rozkoszne. I tanie, bo można je wykonać własnoręcznie.

Wszystkie tegoroczne toalety wieczorowe — wymagają krótkich okryć, żakiecików. Są one często w odmiennym kolorze od sukni, a ulubionym materjałem na nie jest aksamit.

Balowe rękawiczki — są w obecnym sezonie dwojakiej długości: krótsze, sięgające do połowy przedramienia i bardzo długie, wysoko poza łokieć zachodzące.

Wieczorowe płaszcze i capes — są przeważnie zupełnie długie i wykonywane najczęściej z aksamitu. Tylko firma Patou podaje modele długości trzy czwarte.

Plecy niektórych staników — sznurowane wstążką lub aksamitką w odmiennym kolorze.

Kołnierze koronkowe „Marja Stuart" — czarownie zdobią toalety wieczorowe.

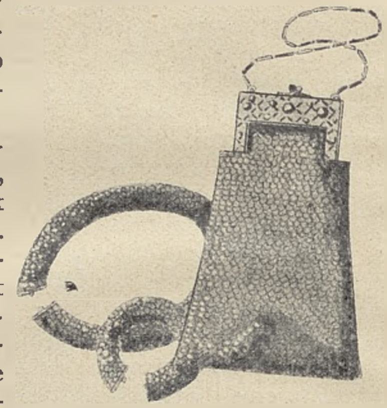
Podszywanie odmiennym kolorem — wolantów przy dekoltażu i wtyle sukni umieszczonych, zwłaszcza wolantów o linji korkociągowej — rozjaśnia mile ciemne suknie.



Firma Philippe et Gaston przedstawiła kilka modeli w tym rodzaju z efektem bardzo dodatnim; naprzykład: suknia z czarnego jedwabnego aksamitu z wolantami podszytemi pomarańczową taftą. Wolancik kloszowy i wąziutki, stojący, obrócony do szyi stroną pomarańczową; to samo powtarza się przy mikroskopijnych rozmiarów rękawkach, jako stojący mankiecik. Tył sukni sznurowany i związany kokardką w pasie; od pasa wdół, przez całą długość sukni, biegną korkociągowe dwa wolanty czarno-pomarańczowe. Albo czarna koronkowa, na czarnym fourreau, rękawy-bufki, szeroki pas fałdowany podszyty białym, związany na dużą kokardę na biodrze. Kokarda rozłożona w ten sposób, by jak najwięcej uwydatnić biały kolor. Białe pończoszki, biały aksamitny żakiecik.

Białe suknie — mają zapewnione powodzenie, gdyż na każdym pokazie modeli były uwzględnione w kilku egzemplarzach. Uzupełniane są najczęściej okryciami w odmiennym kolorze, ale przyznaję, że choć to bardzo wesoło wygląda, zachwyciłam się najwięcej toaletą o linji prostej, z białego aksamitu, z okryciem z tego samego materjału.

W modzie pantofelków — przewrót pod wpływem wystawy kolonialnej. Spiczaste, na lśniącym jedwabiu bogaty haft z motywów egzotycznych, przytem bardzo wycięte, zwłaszcza po bokach i często sznurowane wstążkami.



Wieczorowa torebka z pereł różowych, niebieskich i białych, z których wykonana bransoleta i colier

Ale nie sądźcie, Czytelniczki, że każda Francuzka, a specjalnie paryżanka, jest rozrzutną, strojną damą. Nic podobnego, wobec paryżanki każda Polka jest rozrzutną i wydaje na garderobę ponad stan. Paryżanka jest tylko zawsze dobrze ubraną, odpowiednio do okoliczności i posiada — szósty zmysł do problemów szmatkowych. Z lada gałganka potrafi zrobić cacko i nosić je z niezrównanym szykiem. Paryżanka naszej sfery szanuje suknie, przerabia i nie sprawia kosztownych materjałów. Nosi wieczorowe toalety z crêpe de Chine, z żorżety, muślinu, niedrogiej koronki, z crêpe satin, z tiulu, ze sztucznego jedwabiu, ale właśnie od tego, jak je ukształtuje, jak je nosi, zależy efekt.

Młode dziewczęta — chciałyby zapewne znaleźć w tej korespondencji także cośkolwiek dla siebie. Otóż zasadniczo jak najskromniejsze gatunki materjałów, jak najprostsze i zupełnie nieskomplikowane modele z krótkiemi rękawkami. Kolory pastelowe. Często biały i czerwony w kilku odcieniach. Obcisłe suknie-futerały, modelujące kształty — są na indeksie dziewczęcej mody. Co najwyżej stanik lekko przylegający do pasa, a poniżej fałdy, przymarszczenia, wolanty, falbany. Długość sukien do kostek. Kaftaniczki, kamizelki, bolera uzupełniające z materjałów tanich; fasony proste, luźne lub z paskiem w pasie. Strojne wieczorowe płaszcze nie są odpowiednie. Przybrania dyskretne, skąpe wycięcia zprzodu i wtyle. Opiszę kilka modeli dla orjentacji. Suknia z pastelowej niebieskiej żorżety; staniczek wycięty w kwadrat, wykończony mereżką, rękawki-bufki, spódniczka przymarszczona w pasie, przewiązana szarfą z żorżety. — Suknia z koralowego, gładkiego tiulu. Staniczek przybrany skrzyżowanym wolantem, związanym na plecach na kokardę. Spódniczka marszczona, cała w poprzeczne zakładki coraz to szersze ku dołowi. — Suknia z muślinu w bledziutko-zielonym kolorze pastelowym; na gładkim staniczku krótkie bolerko z tego samego muślinu, falujące brzegiem. — Suknia z białej tafty z wycięciem okrągłem, obszytem girlandką drobniutkich różowych kwiatków; spódniczka w suto układane lecz niezaprasowane, drobne fałdy.

CAILLER-SOBAŃSKĄ







WIECZOROWE TOALETY
Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH

168 Suknia z ciemno-szafirowego aksamitu lub jedwabiu, bez przybrań, z wyjątkiem oryginalnej plakietki zawieszonej na pastelowo niebieskiej wstążce.
169 Suknia z czarnej żorżety, przybrana fantazyjną kokardą z lśniącego jedwabiu.
170 Żakiecik do sukni wieczorowych z aksamitu w dowolnym kolorze, wiązany wtyłe. Kołnierz z jasnego futra.
171 Suknia półwieczorowa z ciemno-bronzowej żorżety, albo crêpe chiffon. Karczek i rękawy z bledziutko różowej koronki.
172 Suknia z tiulu zielonego. Spódniczka oryginalnie marszczona, kwiat z blado-lila aksamitu, nakrapianego zielonym.





WIECZOROWE TOALETY Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH

173 Suknia z crêpe satin w czarnym kolorze; karczek i rękawki z tiulowych falbaneczek kremowych.
174 Suknia z czarnej koronki wełnianej na czarnym spodzie. Pasek i riuszki z aksamitu.
175 Suknia z jedwabnej satyny w kolorze topazu. Pleciony z satyny sznur użyty zamiast colier na szyi i jako pasek.
176 Suknia z jedwabiu czarnego w drobne złote punkciki. Ciekawy dekoltaż nadaje toalecie niezwykłego szyku.

WIECZOROWE SUKNIE Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH

177 Suknia z białego muślinu z paskiem zamszowym. Bolerko z muślinu wyzakładkowanego.
178 Suknia z białej krepy. Stanik tworzy miękką draperję; pasek kończący się na biodrach pleciony z krepy i zakończony klamerkami.
179 Suknia z jasnego jedwabiu sztucznego; naramienniki i pasek pleciony z plis jedwabnych i lamy. Zamiast żakiecika — pelerynka aksamitna.
180 Suknia dla podlotka z tiulu, cała plisowana. Jedwabne bolerko spięte bukietem kwiatów. Kolor dowolny.













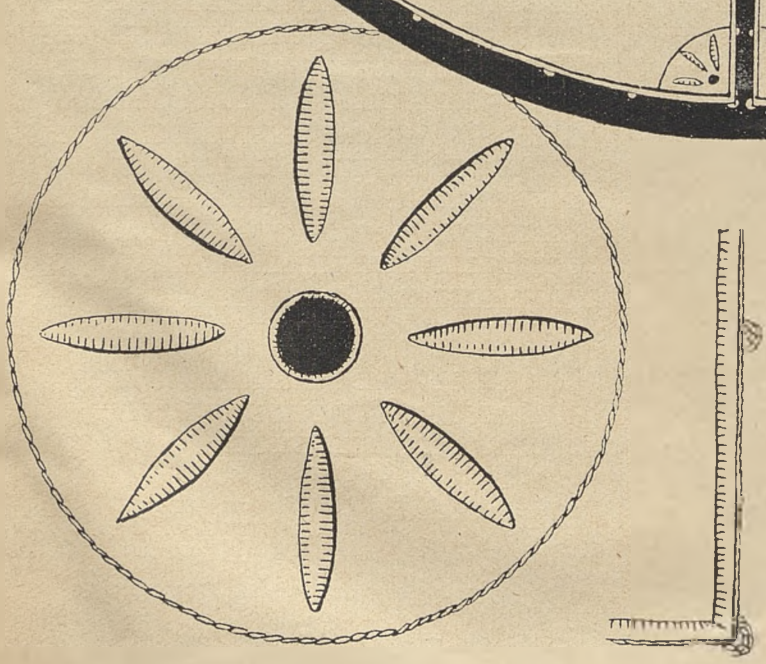


MODELE FUTRZANYCH PŁASZCZY I ŻAKIECIKÓW

181 Żakiet z astrachanu czarnego w połączeniu ze suknem czarnem. Pasek lakierkowy.
182 Płaszcz z bronzowego astrachanu, przybrany jasnem futrem.
183 Żakiet z popielatego płaskiego futerka — szal i zarękawek gronostajowy.
184 Płaszcz z breitschwantzu, kołnierz z lisa.





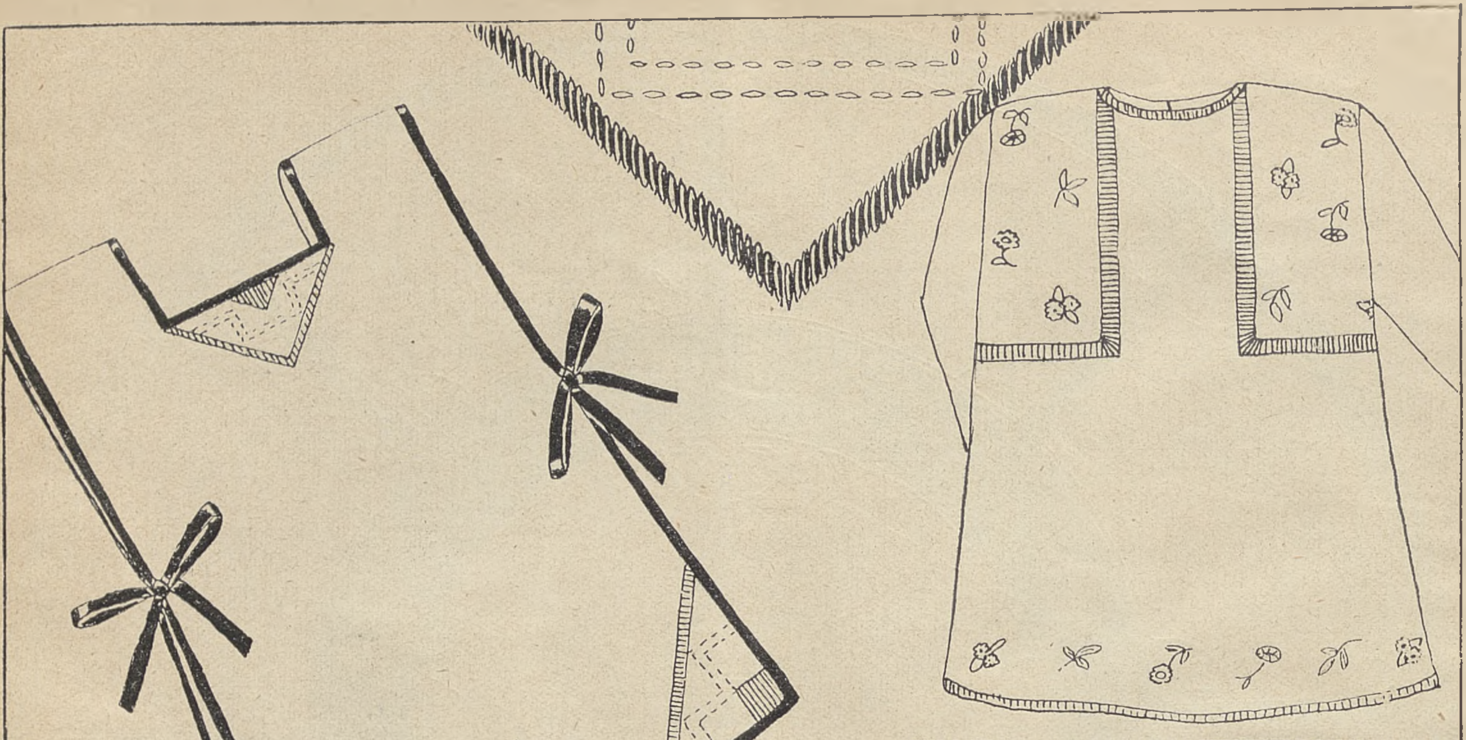


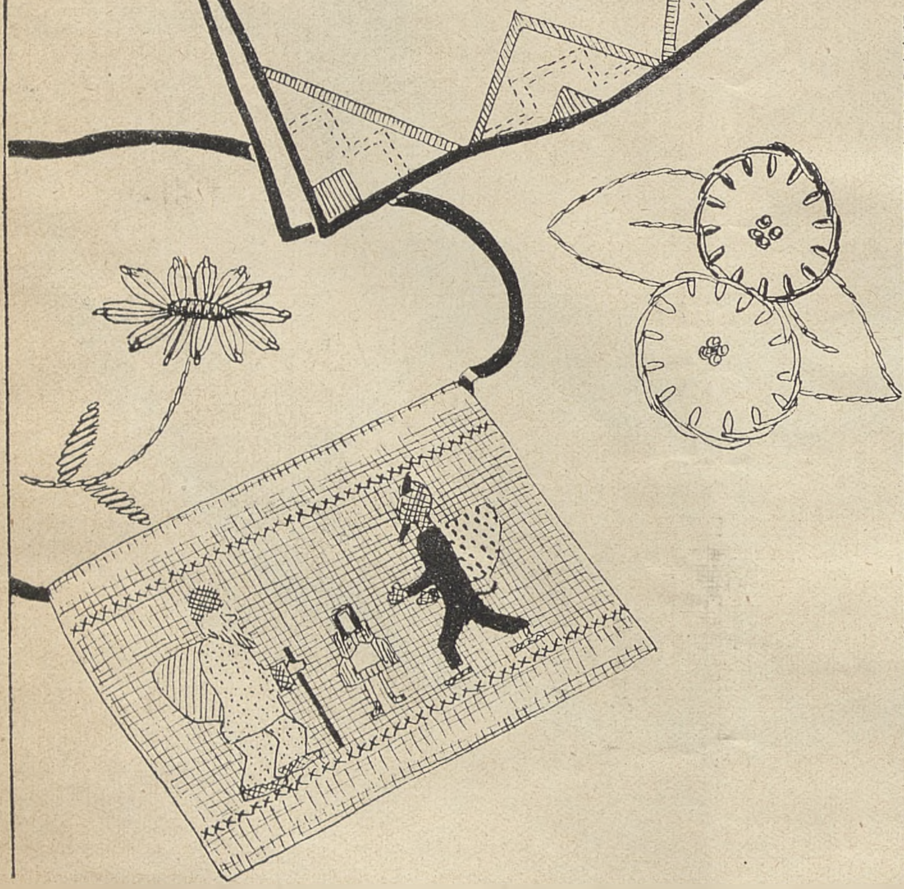
Ryc. 58

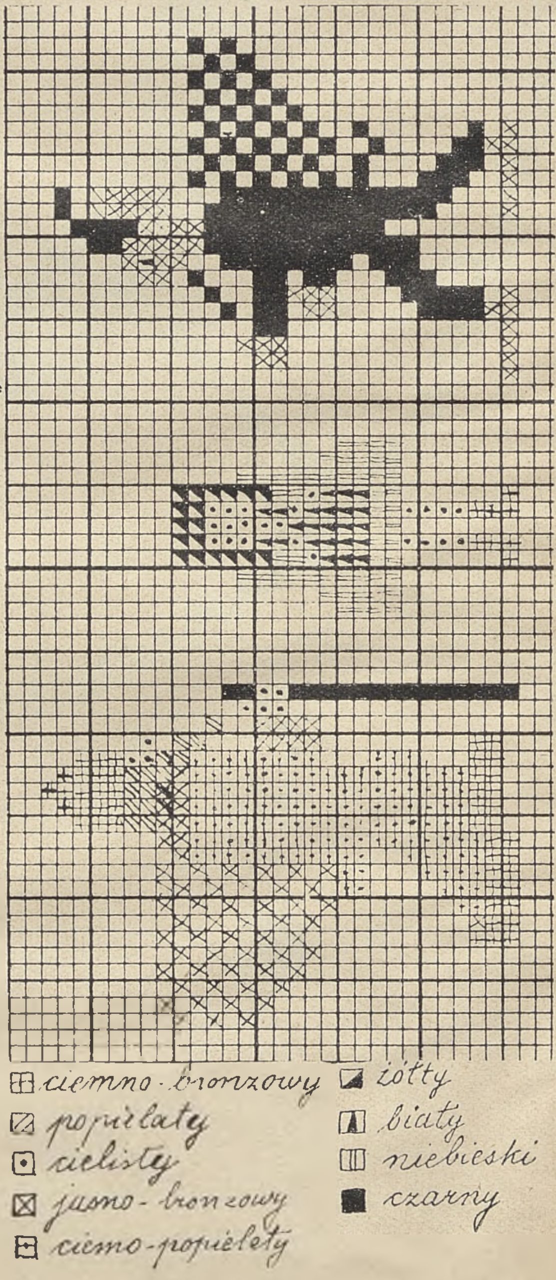
ROBOTY RĘCZNE

Ryc. 58. — MODNY GARNITUR STOŁOWY. — Jako materjał służy płótno lniane, albo takiż batyst. Haft angielski w połączeniu ze ściegiem pocztowym tworzy motywy. Brzegi wykończone dzierganiem z pikotami; ob. wzory naturalnej wielkości.

Garnitur można zastosować w rozmaity sposób; niekoniecznie trzeba kłaść 6 serwetek, tylko tyle, ile jest nakryć, np. 3 — 4. Nasze wzory przeznaczone są na stół o 100 cm średnicy, ale można je również zastosować do mniejszego stołu, robiąc tylko 4 — 5 serwetek albo do większego, rozsuwając serwetki. Krój z wzorem na żądanie.





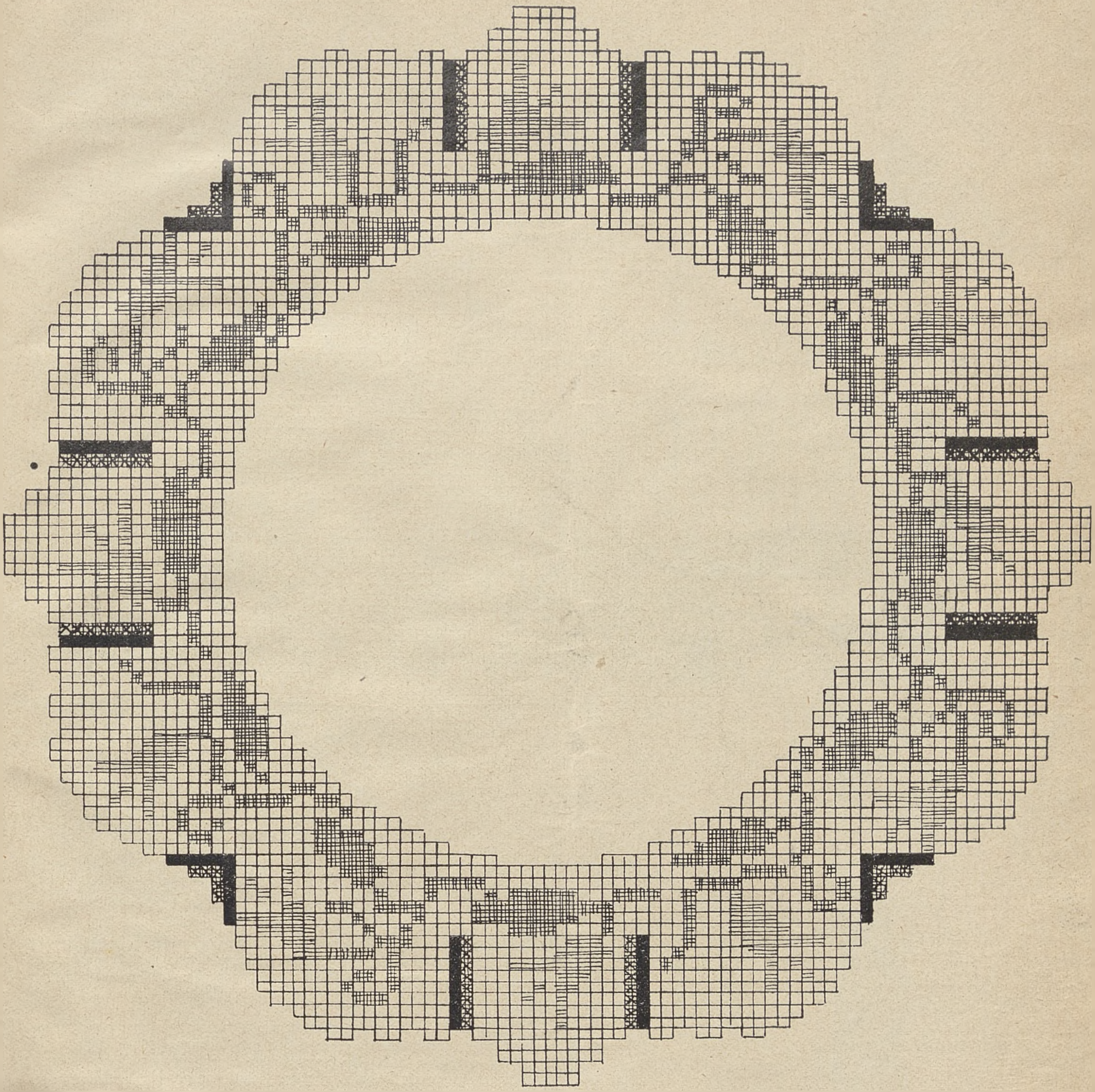


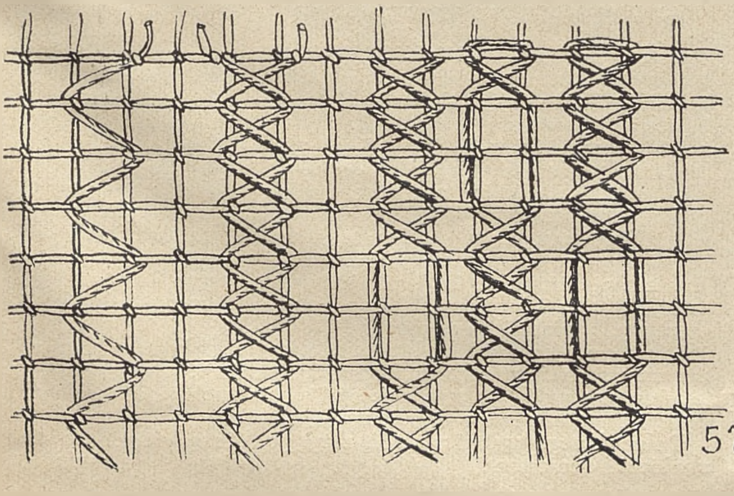
Ryc. 59. — FARTUSZEK DLA DZIEWCZYNKI OD LAT 5 — 6, — ozdobiony haftem płaskim i fastryżką. Kolory: rdzawy, niebieski i jasno-zielony, lamowanie granatowe, albo bronzowe. Próbka naturalnej wielkości u góry.

SUKIENKA DLA DZIEWCZYNKI OD LAT 3 — 4, — ozdobiona haftowanemi kwiatuszkami. Ściegi: pocztowy, dziergany, węzełkowy, chwytany i płaski; kolory dowolne. Plisy w jednym z kolorów haftu. Krój z wzorem na żądanie.

TOREBKA DLA DZIECKA WYKONANA HAFTEM KRZYŻYKOWYM ALBO PŁASKIM. — Materjał: płótno albo kongresówka, wzór przedstawia św. Mikołaja i djabła z modlącą się dziewczynką.

Ryc. 59





57.

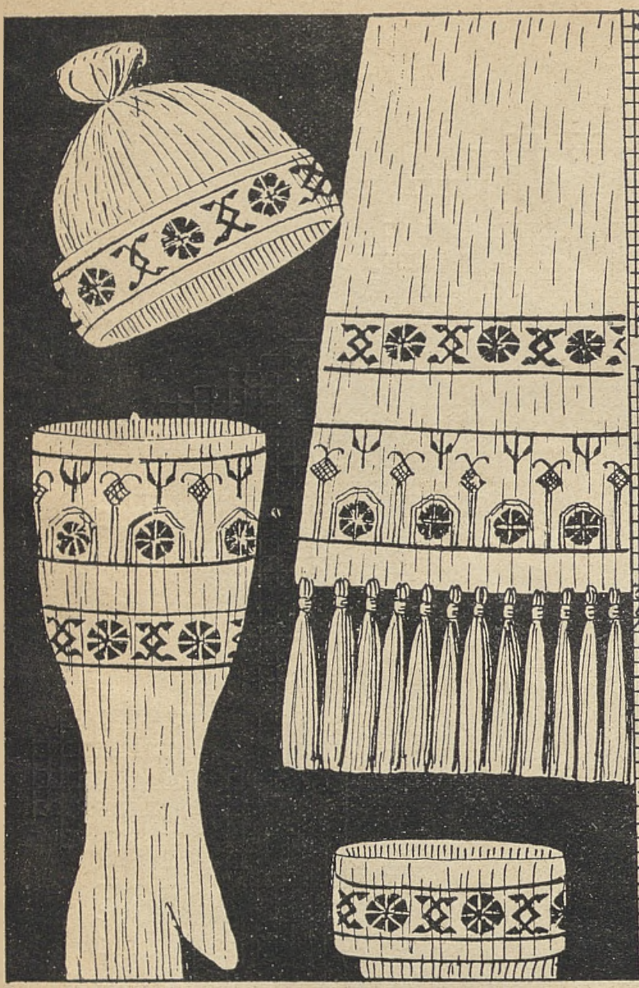
KORONKA DO OKRĄGŁEJ SERWETKI

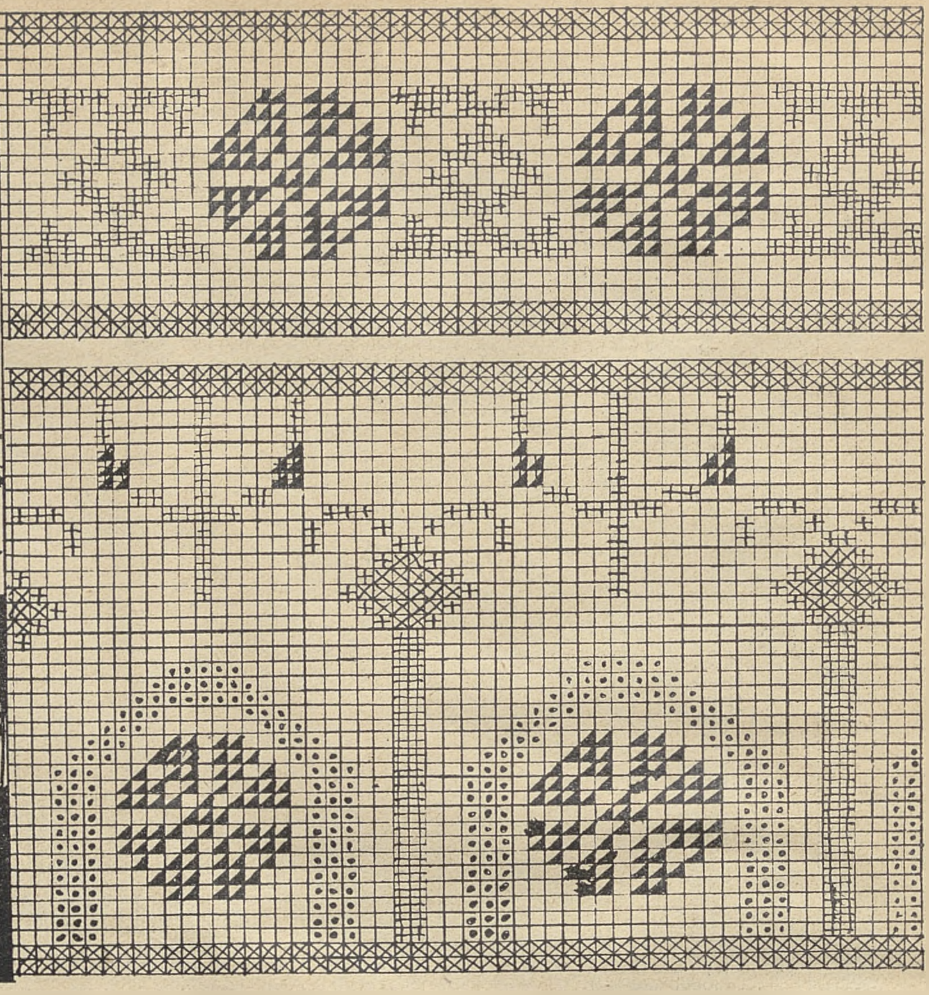
Bardzo efektownie wygląda płócienna serwetka z powyższą koronką. Ściegi: płócienny, gęste cerowanie, rzadkie cerowanie i krzyżykowe, którego wykonanie uwidocznia próbka 57.

Brzeg koronki wykończony dzierganiem, którem również przyszywamy wewnętrzny brzeg do płótna.

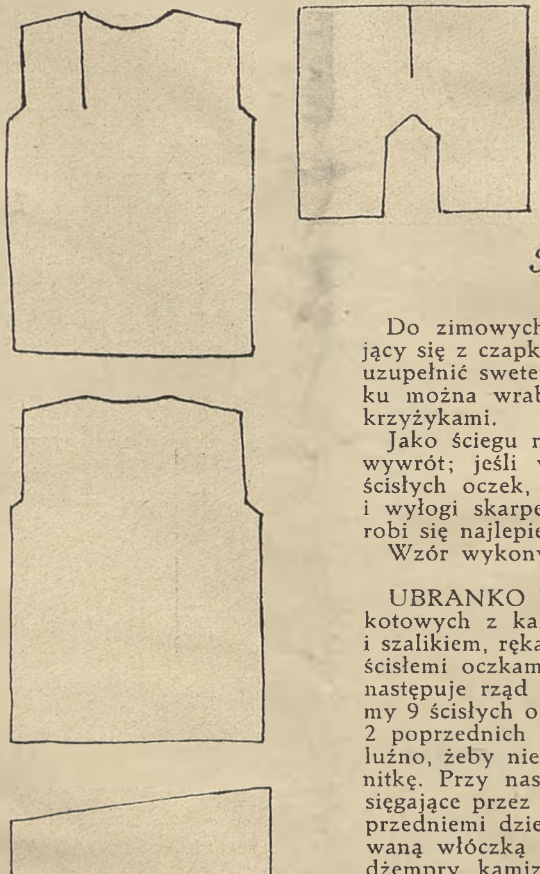
Z. KULCZYCKA

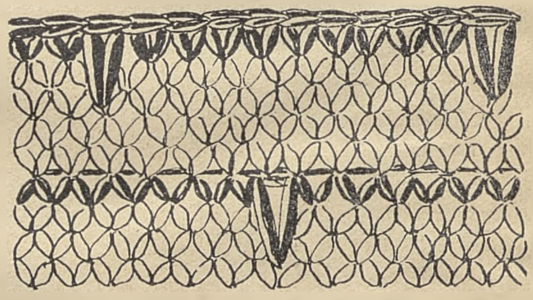
KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO











92

Do zimowych sportów potrzebny garnitur włóczkowy, składający się z czapki, szala, rękawiczek i skarpetek, a można go jeszcze uzupełnić sweterem, ozdobionym tym samym szlakiem. Wzór szlaku można wrabiać na drutach albo szydełkiem, lub też wyszyć krzyżykami.

Jako ściegu na drutach używamy: 1 oczko gładkie a jedno na wywrót; jeśli wykonamy garnitur szydełkiem, stosujemy rzędy ścisłych oczek, z których również składają się mankiety rękawic i wyłogi skarpetek, podczas gdy dłonie, wzgl. cholewki i stopy, robi się najlepiej na drutach.

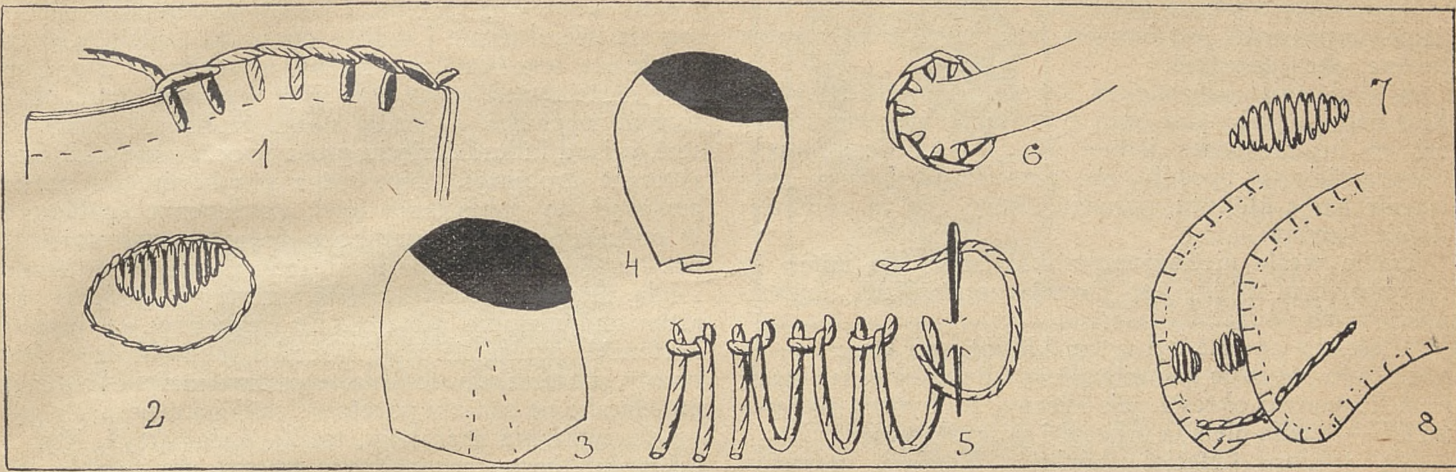
Wzór wykonywamy żywemi kolorami.

UBRANKO DLA CHŁOPCZYKA składa się ze spodenek trykotowych z kamaszami, harmonizujących w kolorze z czapeczką i szalikiem, rękawiczkami i tłem dżemperka. Ten ostatni wykonany ścisłemi oczkami. Po 4 rzędach ścisłych oczek w jednym kolorze następuje rząd ścisłych oczek z włóczki w cienie, przyczem robimy 9 ścisłych oczek a przy dziesiątem wkłuwamy szydełko poniżej 2 poprzednich rzędów, przyczem musimy włóczkę wyciągać dość luźno, żeby nie ściągnąć roboty. Przy końcu tego rzędu urywamy nitkę. Przy następnym cieniowanym rzędzie przestawiamy oczka sięgające przez 2 rzędy, żeby się znalazły w piątem oczku nad poprzedniemi dziewięcioma. Wzór ten wygląda prześlicznie z cieniowaną włóczką i można go bardzo polecić na wszelkiego rodzaju dżempry, kamizelki, swetry i t. p.

Obok podajemy szkice krojów; łatwo je wykonać własnoręcznie na wszystkie wielkości. Wystarczy zmierzyć długość dżempra od ramienia wdół, połowę objętości w biodrach, połowę objętości pachy. Podobnie łatwo wymierzyć spodenki.

Dolne brzegi wykończone 2 razy po 4 rzędy ścisłych oczek z włóczki cieniowanej.

Z. KULCZYCKA



WIELBŁĄD, PIES I MYSZ

Wszystkie trzy zwierzęta powstały z ¾ m grubej białej flaneli. Krój i wykonanie nadzwyczaj proste. Do połączenia boków służą proste paski materjału, przyszyte najpierw drobną fastryżką, albo szwem maszynowym, a potem dzierganiem cieniowaną włóczką, ryc. 1, przez co powstaje zabawna kanciastość kształtów.

WIELBŁĄD posiada oczy wyszyte bronzową włóczką i takiż pysk, oraz nozdrza, ob. ryc. 7 i 8. Głowa i szyja, niezbyt ciasno wypchane, dają się ustawiać wbok, przez co powstają arcyzabawne miny. Uszka przyszyte stojąco. Sposób przyszycia ogonów pokazuje ryc. 6.

KUBISTYCZNY PIES jest ulubioną zabawką mniejszych dzieci; można go wygodnie założyć na tłustą rączkę jak koszyczek, albo nawet wlec za ucho — o ile dość mocno przyszyte. W dotyku miękki i cieplutki, jest zawsze potulny, jak to poznajemy po jego grzecznej minie. Łaty z czarnego aksamitu zdobią grzbiet, boki, ucho i ogonek, a pod brodą wyrasta piękny zarost z białej włóczki; powstawanie jego pokazuje ryc. 5. Sposób złożenia uszu, z których jedno zwisa, a drugie stoi, widać na ryc. 3 i 4, haftowane oko zaś na ryc. 2.

BIAŁA MYSZKA, wykończona w podobny sposób, ma sumiaste wąsy z włóczki i bardzo długi ogonek, oczka czerwone i takiż pyszczek.

Wszystkie zwierzęta wypchane watą albo pociętemi wełnianemi szmatkami; bawełniane są za ciężkie. Głowa psa nie powinna być ciężka, żeby pies nie stracił równowagi.

Wysokość psa 30 cm, wielbłąda 28 cm. Kroje na żądanie.

Z. KULCZYCKA



CO ZA KŁOPOT!

Z czem?!

Tyle mamy trosk, że *kłopot* już znacznie mniejsze wrażenie na nas robi, jest bowiem tem czemś, z czem sobie można jakoś poradzić.

A w słówku „jakoś" tkwi zawsze ukryta nadzieja, że ktoś nam pomoże. Czy ktoś żywy, czy zbieg okoliczności, to już wszystko jedno. W jakiś nieoczekiwany, opatrznościowy sposób, ale przecież ktoś inny wyciągnie nas z kłopotu, poradzi, ułatwi. Na to podświadomie liczymy.

Takim wcale nietragicznym kłopotem, ale mimo to niepokojącym myśli, jest kwestja upominków okolicznościowych.

Właściwie zawsze był z tem kłopot *co i komu* — ale obecnie to już istne urwanie głowy! Bo żeby w tak trudnym finansowo okresie, jak obecny, zdobyć się na upominki — trzeba nielada odwagi i pomysłowości.

Ale trudno przecież zawieść dziecięce marzenia o Gwiazdce —

Trudno nie ofiarować najskromniejszego chociażby drobiazgu swoim kochanym i nie powiedzieć im — w ten, coprawda, bardzo nieudolny sposób — o swojej serdecznej pamięci.

Trudno nie pomyśleć o tych, którzy jeszcze mniej od nas mają.

I jakże to wszystko powiązać z budżetem, który ostatnio zanadto zaprzyjaźnił się — z kamforą, i najniepotrzebniej w świecie przyswoił sobie pewną niegodziwą jej właściwość... Nie wiadomo jak i kiedy ulatniają się nam pieniądze, o mocne budżetowe podstawy oparte, a w rzeczywistości niesforne, mimo skrupulatnego prowadzenia księgi rachunkowej. Nowe obciążenia i zobowiązania wyłaniają się jak grzyby po deszczu, a biedna pani domu musi przecież wszystkiemu zaradzić, wszystko pogodzić. Nawet skurczony budżet z nie zmniejszonemi pragnieniami swojemi i swego otoczenia.

Cóż więc ofiarować dzieciom? Co dorosłym? Co służbie? Co tym, o których nikt nie pomyśli?

Wszystkie nasze upominki powinny dziś być pod znakiem praktyczności i celowości. Pamiętajmy również o tem, że nie o wysoką wartość idzie, ale o znak pamięci — i starajmy się uwzględniać zamiłowania, oraz potrzeby obdarowywanych.

Najszlachetniejszym, a stosunkowo najtańszym upominkiem jest dziś książka. W dodatku najstosowniejszym dla każdego wieku. Wystarczy obserwować błyszczące zaciekawieniem i entuzjazmem oczy dzieci, młodzieży dorastającej, a i nas, starych — przepraszam wszystkie Czytelniczki i poprawiam się: nas, dojrzałych — w chwili otrzymania książki w podarku. Ofiarowujmy więc przedewszystkiem książki. Jest przecież tyle wydawnictw do wyboru, a wśród nich książki nieprawdopodobnie tanie. Ponadto ileż ułatwień w nabyciu, niedostępnych przy żadnych innych zakupach, jak np. dostarczanie do przejrzenia. Przytem możność spłacania ratami.

Albo nuty? Cóż to za miły i wytworny upominek.

Drugie miejsce po książkach zajmują drobiazgi wykonane własnoręcznie. Nie te różne bezużyteczne „ozdoby" zachwaszczające mieszkania, ale rzeczy użytkowe i estetyczne. Nie owe beznadziejne makatki, parawaniki, poduszki, serwety, na widok których włosy stają na głowie — tem łatwiej, że krótkie — ale coś, co odda usługę i ucieszy oczy. Pracowite rączki pań mogą zaopatrzyć w trykotaże dzieci i dorosłych; ozdobić haftem niezbyt mozolnym bieliznę pościelową, obrusiki, serweteczki i milieux, tak miłe przy nakryciach, bieliznę osobistą, ozdobne chusteczki i t. p. Zabawki i ozdoby na drzewko również nietylko można, ale trzeba wykonywać w domu. Wyłoni się z tego indywidualne jakieś piękno a zaniknie szablon. I koszty upominków zmniejszą się wielokrotnie i radość obopólna będzie większa.

Ale i z tem liczyć się trzeba, że niekażda z pań ma czas na te ręczne prace, lub że je wykonać umie. Więc w tym wypadku — wedle stawu grobla. Możemy dostać, już od kilkudziesięciu groszy począwszy, różne pożyteczne drobiazgi. Np. coś z przyborów do szycia: przyrząd do nawlekania igieł, do łapania zgubionych w pończoszce oczek, przybory do robót trykotarskich, barwne koraliki do haftów, ładny igielnik, futeralik z igłą, nićmi i naparstkiem nieoceniony w podróży, kasetka na jedwabie lub nici. Z przyborów do pisania: kartoniki, papier listowy, laseczka laku, bloczek podręczny, notesik do torebki, zgrabny mały ołóweczek, pudełeczko na znaczki pocztowe, szklana miseczka z gąbką do zwilżania znaczków, teczka, kałamarzyk. Etui na bilety lub kartę tramwajową, grzebyk do torebki, puderniczka, woda kolońska, rozpylacz do perfum, monogram na torebkę ręczną, na walizkę, teczkę. Flakonik lub wazkę na kwiaty. Można również praktyczne drobiazgi do gospodarstwa domowego.

Zakres upominków dla panów jest skromniejszy i wybór łatwiejszy. Książki przedewszystkiem. Palaczom największą przyjemność sprawią ich ulubione papierosy lub cygara. Z wymienionych powyżej nadają się przybory do pisania i korespondencji, monogram, etui na kartę tramwajową, trykotowy pullover, szal i czapka. Pozatem oprawka do giletki, przyrząd do ostrzenia, portfel, krawat, oprawkę w którą wkłada się broszurowane książki do czytania, aparacik do wiązania krawatów. Automobilista ucieszy się pastą zapobiegającą potnieniu szkieł i szyb. Wieczne pióro — też miły upominek, ale już droższy, a my musimy oszczędzać! Drobiazgi o zabarwieniu humorystycznem są przez mężczyzn mile widziane.

Oczywiście, lista podarków nie jest wyczerpana; podane tylko tło, na którem fantazja pań może haftować własne pomysły.

Zkolei zwrócę uwagę na rodzaj upominków, z którymi trzeba być bardzo ostrożną. Należą do nich przedmioty z zakresu garderoby i jej uzupełnień, oraz środki kosmetyczne. Moda dyktuje różne zharmonizowania szczegółów, takie więc rzeczy jak torebki, rękawiczki, pończoszki, modna biżuterja, mogą wprawić w kłopot zamiast uradować. Chyba, że będą wybrane w porozumieniu z obdarowaną. Kosmetyki zaś, kremy, pudry, mydła wymagają uwzględnienia indywidualnych właściwości skóry, a perfumy upodobań. Zatem ostrożnie.

Służbie najlepiej ofiarować pieniądze; z podarków wybranych przez panie są dziewczęta zreguły niezadowolone. Mają własny gust i potrzeby, których nie znamy. Dobre słowo, uśmiech, trochę słodyczy i pieniądze sprawią im w dniu wigilijnym największą radość.

W każdym domu znajdą się rzeczy znoszone, które już nie przedstawiają dla właścicieli wartości. Myślę o garderobie i bieliźnie, o niektórych sprzętach pokojowych i kuchennych, o zabawkach, o książkach. Rzeczy te naprawione, odprasowane, sprzęty odczyszczone, zabawki odświeżone mogą uszczęśliwić serca najbiedniejszych. Jest tyle komitetów nawołujących do ofiar przed Gwiazdką. Podzielmy się, zróbmy sobie tę najczystszą z radości, żeśmy uradowali jakieś smutne serca. K. S.

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

OSZCZĘDNE ŚWIĘTA. — Mimo redukcji płac i trudności finansowych nie chcemy zrezygnować z urządzenia tradycyjnych Świąt, do których przywykliśmy od dzieciństwa i których nie możemy pozbawić naszych dzieci, by zachowały je w miłej pamięci do późnej starości. Nie będziemy jednak popełniały błędu, którym grzeszyłyśmy w lepszych czasach, by dla uczczenia Świąt nadwerężać budżet. Można bowiem również skromniejszemi środkami sprawić przyjemność rodzinie i sobie.

Dawniej grzeszyłyśmy często niepotrzebną rozrzutnością i przygotowywałyśmy nadmierne ilości jedzenia, przyrządzanego w dodatku w sposób ciężki, trudnostrawny. Sprzyjało temu zbyt hojne szafowanie jajami, tłuszczem, migdałami, orzechami i t. p. Zbyt wyszukane smakołyki, przeładowane drogiemi dodatkami, psuły smak starszych i dzieci. Dziecko zadowoli się najskromniej przyrządzonym przysmaczkiem, byle był słodki, a i dorośli nie potrzebują sobie psuć żołądków.

Strucla np. niekoniecznie musi być przeładowana masłem i jajami; będzie równie smaczna, jeśli dodamy skórkę cytrynową albo pomarańczową i szczyptę soli do ciasta, a oszczędzimy na maśle i jajach. Zamiast drogich migdałów użyć można tańszych orzechów, a z tych znowu najtańszych ziemnych. Zamiast zwierzyny można przyrządzić smacznie i oryginalnie tańsze mięso, a ryba morska odpowiednio przyrządzona zastąpić może droższą rzeczną.

Przy przyrządzaniu zwierzyny nie powinno się marnować kości, odpadków i resztek, z których można jeszcze przyrządzić niejedno apetytne danie.

Postaramy się podać tu kilka przepisów na smaczne a niedrogie potrawy, oraz na pieczywo dla dzieci.

RYBY MORSKIE tracą niemiły zapach, gdy się je wymoczy w wodzie z solą i octem, albo z sokiem cytrynowym. Gotuje się je w wodzie z włoszczyzną, octem i korzeniami. Nie powinny się gotować na silnym ogniu, tylko powoli, zboku, gdyż łatwo się rozpadają.

RYBY RZECZNE powinno się nasolić długo przed gotowaniem. Ryby przystawia się w zimnej wodzie.

RYBA PO MARYNARSKU. Do brytwanny włożyć spory kawałek masła, cebuli, kilka listków bobkowych i dużo włoszczyzny. Włożyć rybę i zalać wodą z octem, albo z lekkiem białem winem do przykrycia. Zagotować raz, potem powoli dusić na boku. Gdy zacznie odstawać od ości, wyjąć na półmisek, zrobić jasną zaprażkę do sosu i przetrzeć wszystko wraz z włoszczyzną na rybę. Podać z kartoflami.

KURCZĘTA JAK BAŻANTY. Wieczorem natrzeć kurczęta zmielonemi korzeniami i jałowcem wewnątrz i zewnątrz. Następnego dnia przed pieczeniem opłókać i naszpikować pierś wędzoną słoniną oraz posolić. Stopić wędzoną słoninę, pokrajać ¼ pietruszki, ¼ selera, ¼ marchewki, cebulę i piec z tem kurczęta. Gdy gotowe, wyjąć je, włoszczyznę popudrować mąką, gdy się zrumieni, rozprowadzić rosołem i dodać kwaterkę śmietany. Sos ten przecedzić i podać do kurcząt z czerwoną kapustą. Proporcja na dwoje kurcząt.

TANIE CIASTECZKA NA DRZEWKO. Zagotować syrop z 80 dkg cukru i ¾ l wody. Po ostudzeniu dodać skórkę z 1 cytryny, 3 dkg soli rogowej i tyle mąki, żeby powstało gęste ciasto. Wytaczać, wykroić ciasteczka drobnemi foremkami, ułożyć na wysmarowanych blachach i upiec na jasny kolor. Gotowe ciasteczka powlec lukrem z mączki cukrowej, białka i odrobiny soku cytrynowego i posypać kolorowym cukrem, poczem wysuszyć w letniej rurze.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

PANI Z. L. — 1. Inicjatywa powinna wyjść od Pani. — 2. Kwestja ze zdejmowaniem rękawiczki przy powitaniu przedstawia się następująco: na ulicy i w publicznych lokalach nie trzeba zdejmować, chociażby witający się z Panią byli bez rękawiczek. Na prywatnych zebraniach domowych, zwłaszcza wobec pań, które są bez rękawiczek, wypada je zdjąć. Natomiast popularna obecnie moda długich rękawiczek przy sukniach wizytowych i wieczorowych — uwalnia od zdejmowania. Są to kwestje sporne i zależne często od środowiska, w którem się obracamy. Trzeba w tem trochę zmysłu orjentacyjnego i intuicji, a ponieważ Pani wspomina, że ją ma, więc wybrnie zadowalająco z każdej sytuacji. Na jedno tylko zwrócimy uwagę, że ludzie obyci towarzysko nie obrażają się za takie drobiazgi.

P. ZAWADZKA. — Obsunięte oczko w pończosze jedwabnej zabezpieczy przed dalszem posuwaniem się „Płynny jedwab do pończoszek". Kropla płynu wystarczy do utrwalenia oczka. Po powrocie do domu trzeba odmoczyć zesztywniały w tem miejscu jedwab zapomocą eteru i podciągnąć oczko.

PANI ZOFJA W. — Jeśli Pani nie umie, czy też nie lubi haftować, może mimo to własnoręcznie przyozdobić mereżkami bieliznę osobistą, pościelową i stołową. Mereżki są ciągle modne i dają się układać w ładne geometryczne wzory.

PANI M. G. — Pensjonat „Jerzewo" w Zakopanem odpowie podanym przez Panią wymaganiom, ma bowiem w pokojach wodę bieżącą ciepłą i zimną, doskonały wikt, a ceny bardzo zachęcające. Radzimy zapytać wprzód listownie o wolny pokój i warunki.

SAMOUK. — Pochwalamy bardzo zapał Pani do wykonywania własnoręcznie garderoby swojej i dzieci. Radzimy nabyć pracę „Krój indywidualny", którego autorką jest pani Marja Hanusiewicz. Jest to doskonały pod każdym względem podręcznik w dwóch tomach, który odda Pani prawdziwą usługę. Skład główny w Księgarni Polskiej, Lwów, Akademicka.

SONIA Ż. — Widocznie nie czytała Pani całego artykułu, podzielonego na trzy części, gdyż byłaby Pani znalazła objaśnienie, o które Jej idzie. Podajemy zatem: chlebek owocowy. Ale jednocześnie zwracamy uwagę, że jedna, wyrwana z całości część, nie przyniesie pożytku.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzny 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon admin.: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów, Chorążczyzny 27. Tel. 85-16 Telefon redakcji 48-34



1303

TRETORN

KALOSZE ŚNIEGOWCE

Oszczędzacie, kupując w najlepszym gatunku.

SOIR DE PARIS

parfum,
dę

BOURJOIS

PARFUMEUR — PARIS

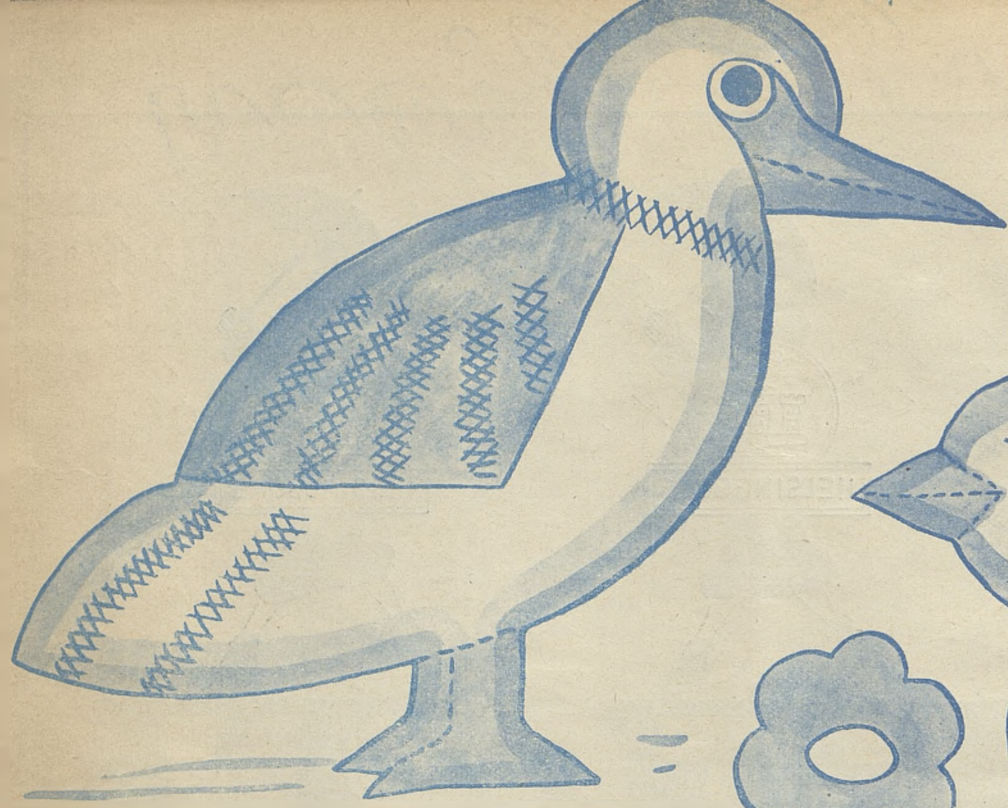
PHOTO DEBERNY & PEIGNOT





PHOTO DE FLAUGERGUES

 GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO D H JÓZEF HOSIASSON, WARSZAWA, TRĘBACKA 4





Zwierzęta wykonane z kawałków flaneli, sukna, perkaliny lub innych materjałów do prania. Forma wypchana puchem; wierzch zapinany na zatrzaski w celu łatwego zdejmowania do prania. Ozdoby haftowane kolorową D. M. C. nr 3.

Kaczka, uszyta z materjału popielatego, skrzydełka ciemno-niebieskie, dziób żółty, oczko czarne. Ścieg „Janina" wykonany kolorem jasno-zielonym.

Kurczątko z materjału jasno-żółtego i jasno-bronzowego; oczko czarne, dziób ciemno-bronzowy, trójkąciki haftowane bawełną ciemno-bronzową.

Pies biały w czarne łaty, oczy czarne, ściegi czarne. Przy zamówieniu kroju dokładny opis wykonania.



